Nr. 6. Lwów — Czwartek dnia 9 Stycznia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 30 „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Marcyanny | Jutro: św. Pawła P. | 2000 M. SS. Mładen.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 7 m. 57 | Zachód „ „ 4 „ 19

Długość dnia g. 8 m. 22 | Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 8 stycznia.

W przeszłym tygodniu odbył się w Brukselli zjazd socyalistyczny, a ponieważ w programie jego znajdowały się głównie zagadnienia pedagogiczne, przeto przybyło na to zgromadzenie bardzo wielu nauczycieli szkółek wiejskich. Obradowano nad sposobami kształcenia młodzieży na socyalistów, aby następne pokolenie składało się już wyłącznie ze zwolenników nowego porządku rzeczy. Uchwalono szerzyć propagandę za pomocą odpowiednich zdań w zeszytach kaligraficznych, wierszyków, zadawanych uczniom na pamięć, i rysunków. Uchwalono także stworzyć osobny fundusz, z którego będą wspierani gorliwi nauczyciele i pojętni uczniowie, fundusz zaś ten ma powstać z corocznych datków rad gminnych, w których większość stanowią socyaliści. Jednak najbardziej charakterystycznem postanowieniem zjazdu jest to, że kosztem funduszów publicznych ubogie dzieci szkolne powinny otrzymywać ubranie i obiady. Wedle uchwały, ubranie będzie im rozdawane tylko na zimowe miesiące i odbierane na wiosnę, a w jesieni znowu dawane, może tym samym uczniom, ale koniecznie inne, aby dzieci przyzwyczaiły się do pojęcia o wspólnej własności. Niestety z obiadami nie można tego uczynić, więc już z konieczności zostanie stary sposób jedzenia, ale żeby to żywienie nie wyglądało na jałmużnę, trzeba dawać codzień dwie potrawy gorące, z których jedna mięsna. Na zjeździe obliczono, że będnie to kosztowało przez zimę na jednego ucznia 75 franków, a w przybliżeniu ubogich uczniów jest tylu, że ogół wydatków na obiady wyniesie około trzystu tysięcy franków. Oczywiście, to obliczenie nie ma wartości, bo nie może być, aby w całej Belgii było 4 tysiące ubogich dzieci. Na dwie gorące potrawy złakomi się drobiazg nawet takich rodziców, którzy nie potrzebują jałmużny, więc liczba stołowników rychło się zwiększy, a z czasem wszyscy uczniowie będą karmieni na koszt skarbu publicznego, bo przecie do tego każe dążyć socyalistyczna doktryna. Sądzimy, że zjazd pedagogów socyalistycznych dlatego tak nisko obliczył koszta stołowania, aby w pierwszej chwili nie odstraszyć publiczności, płacącej podatki. Kiedy już się przyjmie zasada bezpłatnego żywienia, natenczas powolny, coroczny, wzrost wydatku będzie uważany za rzecz naturalną. Zjazd uchwalił że nie państwo będzie łożyło na te obiady i ubrania, lecz rady gminne i to na razie tylko te, które, posiadając większość socyalistyczną, dobrowolnie przyjmą ten wydatek. Znowu jest to postanowienie, mające jedynie ułatwić wprowadzenie nowości, która już później własnym ciężarem rozszerzy się na całą Belgię i stanie się obowiązkową regułą.

W tej kwestyi idzie tedy tak, jak przewidywało wielu: po bezpłatnem nauczaniu, które w początkach swego istnienia uważane było przez ogół za dziwoląg, a dziś stało się w pojęciach czemś zupełnie naturalnem, przyszło w niektórych krajach, a między nimi w Belgii, do bezpłatnych podręczników, piór i zeszytów; w dalszym ciągu konsekwentnie przychodzi bezpłatne stołowanie uczniów i ubieranie ich. Nie wiemy, co pod tym względem będzie z czasem jeszcze wymyślone, ale przypuszczamy, że na tem nie koniec, bo w ogóle żądania nie mają końca. Głodnego nakarmić, nagiego przyodziać, to dzieło bardzo zacne i ze społecznego stanowiska ogromnie pożyteczne. Ale tu muszą być zachowane dwa warunki: dobrowolność działania, wynikająca z potrzeby serca, i trafny wybór osób zasługujących na wsparcie. Oba te warunki mogą być przestrzegane tylko przez dobroczynne stowarzyszenia, a nigdy przez urzędników administracyi państwowej, czy gminnej, bo taka państwowa dobroczynność, posługująca się z konieczności jedynie pewnemi formułkami i nieowiana ciepłem serdecznem, będzie psuła charaktery ludzkie, zamiast je uszlachetniać, stworzy rodzaj premiowania próżniactwa i niedbania o przyszłość. Godziwe jest dawać zasiłki z funduszów publicznych stowarzyszeniom miłości bliźniego, lecz się nie godzi opodatkowywać rządnych i pracowitych po to, aby próżniacy żyli bez troski. Subwencyonowanie stowarzyszeń dobroczynnych pozostawia w rękach szafarzy publicznego grosza hamulec na zbyt wielkie wydatki tego rodzaju, natomiast bezpłatne żywienie i odziewanie ubogich, wprowadzone jako ustawowa reguła, otwiera bezdenną otchłań kosztów, których zmniejszyć nie można bez wywołania społecznych wstrząśnień. Taka jest moralna i ekonomiczna różnica między pomocą ubóstwu w imię Chrystusa, a w imię socyalizmu. Lecz może daremne są te argumenta. Świat się socyalizuje nawet wbrew woli — i jak wprowadził bezpłatność nauki, a w konsekwencyi musi wciąż tworzyć nowe urzęda, aby dać chleb odpowiedni inteligentnym rzeszom, tak zapewne wprowadzi bezpłatność żywienia i odziewania uczniów, a w konsekwencyi nałoży nowe podatki na tych, co jeszcze płacić mogą, bo od pracy nie odwykli. Będzie to przyczynek do wielu już używanych sposobów na majątkowe zrównanie wszystkich i do ogólnego zgnuśnienia charakterów.

Powstała niedawno myśl wznowienia igrzysk olimpijskich. Na przyszłe lato postanowiono zaprosić do Aten gimnastyków z całej kuli ziemskiej, wyznaczono wielkie premie, ułożono program igrzysk i wybrano dwa komitety — jeden specyalnie grecki dla spraw gospodarskich drugi międzynarodowy, w którym jednak znalazła się większość francuska, a stąd i prezesem jego został paryski gimnastyk p. Coubertin. Dla Aten, które nie ściągają do siebie wielkich rzesz podróżnych, miał być z tego suty zarobek, a dla majętnych ludzi którzy nie wiedzą już, jak spędzić wakacye, byłaby zabawa. Wmięszał się jednak szowinizm, ta nieszczęsna naszych czasów przywara, która psuje pomysły o wiele piękniejsze i pożyteczniejsze dla cywilizacyi od tych olimpijskich igrzysk. P. Coubertin, jako Francuz i do tego paryżanin, musiał okazać swą prussofobię; więc do niemieckich gimnastyków wysłał zaproszenie dopiero wtedy, gdy wszyscy inni już je otrzymali i przyrzekli udział. Ale niedość tego: oświadczył redaktorowi *Gil Blas'a*, że umyślnie opóźnił zaproszenie Niemców, aby oni, wiedząc już o udziale Francuzów, nie przybyli na igrzyska, gdzie też nikt widzieć ich nie pragnie. Oczywiście po takiej impertynencyi prezesa komitetu międzynarodowego, Niemcy nie przyjęli zaproszenia. Wśród gimnastyków w innych krajach narobiło to sporo kwasów. Szwedzcy, szwajcarscy i włoscy, a oczywiści i austryaccy zaczęli się cofać. Zaczęto mówić, że igrzyska się nie udadzą, że pomysł jest zły i że nie ma po co jeździć aż do Aten, gdzie latem skwar, a zawsze pełno niewygód. Wówczas przerażono się w Atenach i posłano ostrą wymówkę komitetowi międzynarodowemu w Paryżu. P. Coubertin postanowił naprawić swą niezręczność, napisał tedy list do gazet berlińskich, przepraszając za spóźnione zaproszenie, które tem wytłómaczył, że pomimo starań nie mógł dostać adresów niemieckich stowarzyszeń gimnastycznych, a rozmowę swą z redaktorem *Gil Blas'a* nazwał w części zmyśloną, w części przekręconą. Berlińskie dzienniki rzuciły ten list do kosza, a wydrukowała go tylko jedna *National Ztg.* i to po to, aby wyszydzić p. Coubertina, iż widocznie on stale się spaźnia, bo powinien był zaraz zdać kłam *Gil Blas'owi*, a nie wtedy, gdy niemieccy gimnastycy odmówili udziału w igrzyskach. Dodał ten dziennik, że spóźnione zabiegi komitetu paryskiego są daremne, bo Niemcy nie pojadą do Aten, a zapewne nie pojadą także gimnastycy z wielu innych krajów, którym towarzystwo niemieckie nie jest wstrętne. Kiedy tak fatalnie stanęła sprawa, wziął się do jej naprawy grecki następca tronu. Na jego żądanie dali Grecy dymisyę komitetowi paryskiemu, wybrali swój własny, a ten w ateńskich dziennikach ogłosił, iż Grecya więcej ceni Niemców, aniżeli Francuzów, że szowinistycznych względów nie uznaje, potępia zachowanie się paryskiego komitetu i wypiera się go, wreszcie, że zaprasza gimnastyków wszystkich narodów równie uprzejmie, lecz dodać musi, iż uważa udział Niemców za ważniejszy od udziału Francuzów. W skutek tego teraz znowu Francuzi obrazili się, nie chcą jechać na igrzyska i gdzie mogą, agitują przeciw greckiemu przedsięwzięciu. To są skutki mięszania polityki tłumów do rzeczy, nie mających nic wspólnego z polityką.

W wojnie o wieprze, toczącej się między Węgrami a Serbią, stanęła prasa rosyjska z wielkim szczękiem broni po stronie „bratniego żywiołu“ i grozi Austryi dyplomatycznym protestem, a w ostateczności nawet jakiemiś przymusowemi środkami. Ten animusz, wywołany serbską wieprzowiną, byłby więcej do twarzy Niemcom, niż rosyjskim dziennikarzom, którzy mają własne schaby, a bałkańskich nie otrzymują. Gdyby zresztą otrzymywali, to i w takim razie nie mogą grozić wojną Austryi za to, że wozi swemi kolejami i wpuszcza na swe terytoryum, co jej się podoba, a to, czego nie chce, nie wozi i nie przyjmuje. Serbskie wieprze roznosiły po Węgrzech raciowe choroby; długo o to toczyły się spory między Serbią a Węgrami, wysyłano weterynarzy, ustanawiano kwarantanny, aż wreszcie ministeryum peszteńskie zamknęło granicę dla serbskiej nierogacizny. Dla Serbii jest to ogromna strata, bo ona prawie nie ma innej wywozowej drogi, jak przez austro-węgierską monarchię; przez Turcyą, Rumunię lub Bułgaryę droga daleka i niepewna. Być może, iż Węgrzy postąpili za surowo i że chcieli usunąć konkurenta dla własnej wieprzowiny — o to ich właśnie oskarżają Serbowie — jednak z tego powodu nie uchodzi przemawiać do Austryi z takiego tonu, w jaki uderzyły rosyjskie dzienniki: „Rosya nie może dopuścić, aby którekolwiek wielkie mocarstwo prześladowało jej bałkańskich współplemieńców i jednowierców! — wołają petersburskie pisma. — Rosya tem silniej staje po stronie prześladowanych, że cierpią oni za swą miłość do niej. Mylą się w Austryi, jeśli mniemają, że serbskie interesa mniej obchodzą Rosyę, niż jej własne. Austrya może bardzo łatwo przekroczyć granicę w punkcie ogromnie dla niej fatalnem. Życzymy tedy monarchii austro-węgierskiej, aby w interesie cennego dla niej pokoju skończyły się szykany, urządzane Serbom“.

Tak piszą rosyjskie dzienniki, niektóre nawet jeszcze zuchowaciej, bo wzięliśmy powyższe wyrazy z pisma najmniej szowinistycznego, z *Nowości*. Oczywiście, ks. Łobanow tak samo pewnie śmieje się z tej obrony „prześladowanych współplemieńców“, jak rząd węgierski, który może zawołać: „Ależ tu idzie tylko o wieprze!“

Niemcy o książce Koźmiana.

Das Kleine Journal, dziennik czytywany przez cesarza Wilhelma, zamieszcza na naczelnem miejscu o znakomitem dziele Stanisława Koźmiana „Rzecz o roku 1863“ następujący artykuł:

„Nowa książka staje się aktualnością, kiedy łączy się z bieżącemi wypadkami. Ta, o której mówimy, ma ten przymiot, chociaż zajmuje się przeszłością. Treść jej odnosi się bowiem do historyi i należy do dziedziny historycznej krytyki.

„Autor książki, p. Koźmian, znany polski publicysta, zarazem redaktor najczęściej za granicą wspominanego i przytaczanego dziennika *Czas*, miał odwagę powiedzieć współrodakom to, co tak trafnie nazwano „Prawdą o roku 1863“. Prawda ta pociągnęła jednak za sobą inne, przed któremi autor nie cofnął się. To stanowi znaczenie i powodzenie książki, która tak dobrze między Polakami, jak cudzoziemcami, ogólne obudziła zajęcie. Od pewnego czasu żywo zajmują się nią w Galicyi, w Warszawie, w Poznaniu, oraz w Wiedniu, a artykuły dr. Goldbauma w *N. fr. Presse* zapoznały publiczność naszą z głównemi zaletami i pięknościami dzieła. Dyplomacya i parlamentarne koła, dzienniki i przeglądy austryackie i rosyjskie wiele o niem mówiły, nietylko z powodu literackiej wartości książki, ale dlatego, że szukano i znaleziono tam cenne wskazówki pewnego kierunku w polskiem społeczeństwie, które zwłaszcza ze względu na rolę, jaką Polacy odgrywają w Austryi, oraz na stanowisko obecnie przez nich zajmowane, dla nikogo obojętnemi być nie mogą, zwłaszcza dla tych, co się polityką trudnią. A tak książka ma związek z ministerstwem hr. Gołuchowskiego, z gabinetem hr. Badeniego, z misyą hr. Szuwałowa w Warszawie i z postępowaniem p. Kościelskiego i arcybiskupa Stablewskiego w Berlinie i Poznaniu.

„Niebawem ukaże się ona w księgarni Karola Konegena w Wiedniu, w niemieckim przekładzie dr. Landau, a wtedy będziemy mogli należycie zdać sprawę z jej treści i zaznaczyć jej zalety. Dziś możemy, z zajrzenia w manuskrypt przekładu, to podnieść, co głównie jest aktualnością.

„Przedewszystkiem jako świadek i współdziałacz tak bardzo opłakanych dla swej ojczyzny wypadków 1863 roku, przedstawia p. Koźmian z talentem a w żywych farbach obraz europejskiej dyplomacyi od 1854—1864 r., który nietylko przykuwa czytelnika, lecz pozwala ocenić te niesłychane zmiany, jakie od owego czasu zaszły w tej dziedzinie. Nietylko karta i postać Europy, ale także charakter, zwyczaje, środki, a przedewszystkiem, znaczenie dyplomacyi, zmieniły się najzupełniej a pierwsze tego przyczyny odnajduje się w wypadkach 1863 r. i ich następstwach. Portrety Napoleona III, Aleksandra II, w. ks. Konstantego, ks. Gorczakowa, margrabiego Wielopolskiego namalowane są po mistrzowsku, ale przedewszystkiem są to dla nas żywe jeszcze osoby, które zajęcie budzą.

Największym i najpotężniejszym między niemi — tym, który sam jeden, zużytkowując błędy innych, pełną ręką zebrał owoce swoich pomysłów i czynów — jest pustelnik z Friedrichsruh, stary kanclerz. Ma on niemały udział w wypadkach 1863 r., które w pewnej mierze były prologiem bismarkowskiej epoki. Pierwsza wzmianka o Bismarku w książce jest krótka, ale z góry wyznacza mu przewodnie stanowisko. Opiewa ona tak:

«Prusko-rosyjska konwencya z 8 lutego spowodowała zmianę w zachowaniu się mocarstw europejskich wobec polskiego powstania. Zaznaczyła solidarność dwóch państw i zapewniła pomoc Prus przeciw powstaniu w polskich posiadłościach Rosyi. Bismark tym traktatem, do którego umiał Rosyę nakłonić, podniósł polską sprawę».

Znajdujemy przy tej sposobności przytoczone nader charakterystyczne powiedzenie wielkiego męża stanu. W odpowiedzi na interpelacyę w Sejmie pruskim rzekł Bismark: „że istotnie nie ma już w Królestwie Polskiem powstania i że bitwy i potyczki, o których mówią dzienniki, staczane są za pomocą telegramów, wysyłanych do Paryża, i raz Stanisław, drugi raz Koźmian podpisanych“. (Imię i nazwisko autora książki).

P. Koźmian wydaje o wielkim polityku następujący zwięzły, ale trafny sąd: «W pierwszej chwili, kiedy Bismark zawarł z Rosyą konwencyę, powodował się instynktem, właściwym każdemu Prusakowi, zwłaszcza junkrowi: nienawiścią do polonizmu i sympatyą do Rosyi. Tymczasem z biegiem wypadków spostrzegł, jakie korzyści z nich będzie mógł wyciągnąć dla siebie i państwa pruskiego; wyzyskał je też w obfitej mierze i wzmógł się w siłę za pomocą polskiego powstania, które przybrało było charakter europejski i przetrwało konwencyę z 8 lutego. A tak powstanie 1863 r. w znacznej części dopomogło do powodzeń największego przeciwnika polonizmu i Polaków. Kiedy się na oślep strzela, najczęściej trafia się we własne szeregi. Z popiołów powstania polskiego powstało dzieło Bismarka, oraz system rusyfikacyi w państwie carów».

Nie takie bynajmniej było jednak zdanie ogólne w chwili zawarcia konwencyi.

W *Hotelu Lambert* (pałac ks. Czartoryskiego w Paryżu) mniemano wraz z wielu europejskimi mężami stanu, że Bismark nierozważnie postąpił; uchodził on wtedy za śmiałka, za politycznego awanturnika, który chciał szalone wywołać komplikacye, aby w nich odegrać rolę i dodawano, że on to wyratuje sprawę polską, którą naraziło było powstanie. Przekonanie, że gwałtowny temperament Bismarka i jego namiętności doprowadzą go do upadku i że on dopomoże do zwycięstwa tych, z którymi do walki stawał, było tak powszechne, że mówiono sobie, iż godzina Polski wybiła.

BOEROWIE.

Sławny konkwistador portugalski, major Serpa Pinto, ciekawy opis swej dramatycznej przeprawy w poprzek Afryki kończy uwagą: „W ciągu jednego stulecia Ameryka prześcignęła starą Europę i tak pewnego dnia znowu Afryka prześcignie Amerykę“. Śmiały paradoks! Niewątpliwą tylko jest rzeczą, że od kilkunastu lat zapomniana przez kilka wieków Afryka co chwila przypomina się publiczności europejskiej. Nie mija kwartał, ani nawet miesiąc, któryby nam nie przyniósł wieści o ciekawych zawikłaniach na „czarnym kontynencie“. W grudniu uwaga zwróciła się na jego północno-zachodni róg abisyński, nagle dramatyczne zajścia na południowym krańcu Afryki w sposób senzacyjny nietylko obudziły powszechną ciekawość, ale nawet wprawiły w ruch dyplomacyę starej Europy.

Potomkowie emigrantów holenderskich, znani w Afryce południowej pod nazwą *„boers“* (wymawia się: buhrs) t. j. chłopów, od bardzo dawna raz po raz zdobywali sobie szeroki rozgłos. Od czasu zajęcia Przylądku Dobrej Nadziei przez Anglię (1806) dawniejszym osadnikom holenderskim życie stało się ciasnem i dusznem. Odtąd w pewnych odstępach czasu, dość regularnych, od brzegu morza posuwali się na północ, w głąb Afryki. Wielbiciele *boerów* te ich wędrówki, zwane „trekami“ tłómaczą gorącem zamiłowaniem wolności i wstrętem do ucisku angielskiego. Inni podnoszą, że głównym powodem owego ruchu było zniesienie przez władze angielskie niewolnictwa (r. 1834) i przypuszczenie misyonarzy, którzy tubylców Hotentotów bronili od zbyt srogiego jarzma boerów. Dość, że od r. 1836 boerowie ruszyli z Kaplandu na północ i osiedli w zdobytym na Kaffrach Natalu, założyli rzeczpospolitę Oranje, wreszcie przeprawiwszy się przez rzekę Val, rzeczpospolitą Transwaal. Częste spory, a nawet wojny z Anglikami, byłyby niezawodnie w ostatnich latach sprowadziły nową wędrówkę *boerów* na północ, gdyby tymczasem Anglicy nie byli opanowali ogromnej, zamieszkanej przez Matabelów przestrzeni pomiędzy Transwaalem a Zambezyą. Już w Afryce nie ma dla *boerów* miejsca do nowych wędrówek. Z trzech stron dwie republiki chłopów holenderskich otoczone są posiadłościami angielskiemi, z czwartej, wschodniej, kolonia portugalska odgranicza je od morza.

Ostatecznie stanęli przed alternatywą: albo przeobrazić się z koczującego hufca w normalne, trwałe społeczeństwo państwowe, albo zniknąć w nacierających ze wszystkich stron, chociaż często mętnych jeszcze falach cywilizacyi europejskiej. Odgadnąć, która z tych dwóch ewentualności się ziści — nie jest rzeczą łatwą. Wprawdzie mamy aż nadto liczne i nibyto najdokładniejsze opisy Boerów, ale prawie wszystkie grzeszą widoczną jednostronnością, albo idealizując charakter i szlachetne przymioty tych ciekawych potomków emigrantów holenderskich, albo też w sposób jaskrawy podnosząc ujemne strony ich charakteru.

Poważną bezstronnością odznaczają się relacye o boerach dra A. Rehmana („Szkice z podróży do południowej Afryki, odbytej w latach 1875—1876“; *Przegląd Polski* 1879—1881). Kiedy nasz podróżnik zwiedził te strony, podróż z Cape Town do Kimberley rozstawnemi końmi w dyliżansie trwała dni kilkanaście, — dziś kolej żelazna tę przestrzeń przebiega w 40 godzin, a do Johannesburgu w Transwaalu dociera od Przylądka Dobrej Nadziei w 48 godzin. Zwykle jednak podróż wtedy odbywano ogromnemi wozami, ciągnionemi przez 6 do 10 par wołów, przeprawiającemi się w bród przez liczne rzeki, zmuszonemi czasem kilkanaście dni czekać na brzegu, aż po deszczach opadała woda. Taka podróż do Transwaalu trwała wówczas miesiąc, a czasem dłużej. Radykalna zmiana w środkach komunikacyi naturalnie sprowadza też przewrót we wszystkich stosunkach społecznych. Coraz potężniej do Oranii jak do Transwaalu wciskają się wpływy cywilizacyjne, przeważnie angielskie, i coraz trudniej boerom utrzymać się w dawnem patryarchalnem odosobnieniu i zasklepieniu.

Odwiedziny u jednego z tych boerów p. Rehman tak opisuje: Gospodarz wprowadził mnie i mojego towarzysza do chaty. Chata zaczęła się zaludniać powoli. Rodzina naszego gospodarza, który był wdowcem, składała się z dwunastu synów i jednej córki, a każde z wchodzących uważało sobie za obowiązek uścisnąć nam ręce, z dodaniem zwyczajnego pomiędzy Holendrami powitania: „dobry wieczór wujaszku.“ Nasz gospodarz zrobił nadzwyczaj kwaśną minę, gdy się dowiedział dopiero w chacie, że jestem „Uitlaender“, tj. cudzoziemiec, a cudzoziemcem nazywają tutaj każdego, dla kogo język holenderski nie jest macierzystym, chociażby mieszkał w kolonii od stu lat. Wkrótce potem podano nam kawę, zaczęła się urywana i nużąca rozmowa o polowaniu, potem o stosunkach gospodarskich, podczas której rodzina gospodarza, zgromadzona za drzwiami, prowadzącemi na dziedziniec, z ciekawością nam się przyglądała. Około 8ej godziny podano wieczerzę, do której oprócz nas i gospodarza usiadła jego córka i dwóch najstarszych synów. Wieczerza rozpoczęła się i zakończyła modlitwą. Po wieczerzy cała rodzina zgromadziła się znowu w ciasnej izdebce, panna podała ojcu wielką biblię z pułki, który odczytał z niej jakiś dość długi ustęp; gdy zamknął biblię, wszyscy obecni uklękli na ziemię, a gospodarz zaczął improwizować bardzo długą modlitwę, w której była wzmianka o czarnych i białych nieprzyjaciołach (przymówka do Kafrów i Anglików), a skutek modlitwy był taki, że pod koniec jej dało się słyszeć około pieca silne chrapanie, a gdy skończył mówić i powstał, połowa słuchaczy pozostała na ziemi w klęczącej pozycyi, w objęciach błogiego snu. Panna uważała za stósowne trącić nogą najbliższego z klęczących, a ten pobudził innych. Widok tej sceny musiał wywołać na ustach moich uśmiech mimowolny, bo gospodarz zrobił uwagę, że „nie ma się zupełnie z czego śmiać“, nie dając jednak poznać, do kogo te słowa były wymówione. Potem wszyscy zgromadzeni usiedli około stołu, skupieni około dwóch książek i zabrali się ochoczo do śpiewania hymnów.

Gdy się śpiewanie skończyło, zgromadzeni udali się na spoczynek, z wyjątkiem gospodarza i jego córki, a my zaczęliśmy zabierać się do odjazdu. Nastąpiła jeszcze krótka wymiana myśli, w której gospodarz powiedział mojemu towarzyszowi bez ogródki, że chciałby córkę swoją wydać za mąż, a ponieważ znał jego ojca, ze stryjem jego żył w wielkiej przyjaźni, a z całą rodziną jest nawet zdaleka spokrewniony, przeto jest gotów złożyć ten skarb w jego ręce. Mój towarzysz był tą propozycyą widocznie zakłopotany, tłómaczył się jak mógł, a boer widząc, że nic na tej drodze nie wskóra, i że nie przymusi go do pozostania u siebie, powiedział: „Nie chcesz słuchać starszego, to nie słuchaj, ale będziesz tego żałował; widzę, że wam się gdzieś śpieszy, zapewne do panien, jedźcie sobie z Bogiem“, — a to z Bogiem znaczyło tyle, co nasze siedem krzyżów na drogę.

Na innem miejscu podróżnik nasz podaje taki opis chaty innego boera-farmera: Mieszkał w tej chwili w maleńkiej chatce, której mury były wystawione z ziemi krajanej w kostkę razem z trawnikiem; kostki takie, zwilżane wodą, łączą się ze sobą bardzo szczelnie, a gdy wyschną na słońcu, twardnieją silnie i trzymają się bardzo długo. Rusztowanie, spoczywające na tym murze, składało się z cienkich i krzywych gałęzi, nagromadzonych z niemałym trudem po okolicznych jarach, połączonych ze sobą za pomocą rzemieni z surowej skóry wołowej, i było pokryte strzechą z trawy tambuki. Wnętrze chaty było podzielone na dwie izby; pierwsza była przeznaczoną na jadalnię, a druga służyła za sypialnię dla całej rodziny. Opodal znajdowała się druga podobna maleńka chatka, stawiana mniej starannie, ze ścianami, podpieranemi dylami, ażeby uchronić je przed zawaleniem, przedzielona również na dwie części. W pierwszej znajdowała się kuchnia, a w drugiej, przeznaczonej na schowanie różnych przyrządów gospodarskich, zostałem i ja pomieszczony.

W 4 lata później z przeciwnej strony, od Zambezyi major Serpa Pinto *) przybył do Transwaalu i zatrzymał się w osadzie boerów niedaleko rzeki Limpopo. Rola — opowiada sławny podróżnik — była tu dobrze uprawiana ze stoków wzgórz świeciły białe domy osadników. Wszedłszy do jednego, zostałem wprowadzony do izby, która służyła równocześnie za jadalnię i salon. Był to pokój dość przestronny, wysoki i przyjemny; ściany pomalowane amorkami, strzelającemi do serc, obwiniętych girlandami róż na pierwotnie błękitnem, ale już bardzo wybladłem tle. W środku stał duży stół, otoczony krzesłami, przed oknem doniczki z kwiatami. Białe firanki o czerwonych obwódkach sięgały do połowy okna. W rogu na stoliku leżała ogromna biblia, oprawiona w pierwotnie czerwoną skórę z srebrnemi ozdóbkami. Przyjmowały mnie dwie panie, jak wszystkie niewiasty Trannswaalu ubrane w suknie płócienne o różnobarwnych kwiatkach, z białemi czepcami na głowach. Mnóstwo dzieci tuliło się do nich i to w taki sposób, że zdawały się należeć do obydwóch. Na odnośne zapytanie moje, odpowiedziały równocześnie z dumą „są to nasze dzieci“. Ostatecznie dowiedziałem się, że połowa należała jednej, połowa drugiej, ponieważ jednak zwyczajem boerów dwie rodziny żyły wspólnie, każda z tych matek wszystkie dziatki uważała jako swoje. Tak rozwiązaną została zagadka fizyologiczna, pozostała zagadka psychologiczna. Że w Transwaalu dwie rodziny żyją pod jednym dachem, jedzą z tej samej miski, że dwóch przyjaciół żeni się jednego dnia i odtąd z swemi żonami mieszkają razem, że doczekają się dzieci i wnuków, i zawsze jeszcze pozostają w tem samem ciasnem kółku rodzinnem, że mogą tak żyć i być szczęśliwymi, i że nie wydarzają się ani intrygi, ani kłótnie, ani pomiędzy mężczyznami, ani pomiędzy niewiastami — to istotnie jest rzeczą zadziwiającą!...

Stolica Transwaalu w chwili przybycia Serpy Pinty znajdowała się jeszcze w pierwszej fazie rozwoju. Ulice szerokie, domy piętrowe, po części otoczone ogrodami. Ponieważ jednak miasto stoi na pochyłości, a ulice nie były jeszcze brukowane, w czasie deszczów woda strumieniami płynęła przez niższe części mia-

*) Serpa Pinto's Wanderung quer durch Africa“, przekład z portugalskiego, — Lipsk 1881 — 2 tomy.

Następstwa wypadków zemściły się na tych we wszelkich kierunkach kłamliwych złudzeniach.

«Wiekowy antagonizm — pisze autor — znalazł swój wyraz w polityce Bismarka. Podczas gdy Austrya nie potrafiła i nie była w możności wyzyskać, we własnym interesie polskich wypadków i ograniczyła się na oddaleniu od siebie chwilowych nieprzyjemności i niebezpieczeństw, Prusy, dzięki panu Bismarkowi, zużytkowały okoliczności, aby w dalekich widokach otworzyć sobie drogę do przyszłych zdobyczy i przyszłej potęgi. Połączeniem się z Rosyą, rozerwał Bismark jej związki z Francyą i przygotował znicestwienie przewagi Austryi w Niemczech, zapewniając sobie sympatye Rosyi i Francyi dla zwiększenia siły Prus. Tak to obecny stan Europy — który jest dziełem ks. Bismarka, łączy się pośrednio z wypadkami 1863 r.»

Autor przedstawia dalej w swej książce, zarówno wymownie, jak logicznie, zgubne złudzenia odbudowania dawnego państwa polskiego, którym uległo kilka pokoleń, co zarazem jest europejskiem straszydłem, któremi gra się dowolnie, ale z którego najprzebieglejsi zysk ciągną. Dochodzi do konkluzyi, że jeżeli niezależna Polska jest niepodobieństwem, potrzebnym jest byt polonizmu. „Państwo może zniweczyć inne państwo, ale naród nie może zniweczyć drugiego narodu".

Wywody p. Koźmiana, których podstawą historya i polityka, doprowadzają go do dania jednej tylko rady swoim współrodakom, — aby „szkodliwy patryotyzm" zastąpili — politycznym patryotyzmem. «Polityczny patryotyzm prowadzi do stanu rzeczy, w którym każde z rozbiorowych mocarstw może własny swój interes pogodzić z narodowym bytem Polaków w istniejących granicach organizacyi państwowej. Polacy nie powinni być żywiołem wywrotu, anarchii i rozkładu, ale przeciwnie podporą politycznej i społecznej pracy»

W Austryi Polacy wskutku względnego rozumu i za pomocą okoliczności, doszli dziś do szczytu powodzenia, wpływu i władzy. Ale należy pamiętać, że powodzenie łatwo sprowadza zawrót, a tem samem upadek. O tem nie powinni Polacy w Austryi zapominać. Ale ważnem jest w każdym razie dla wszystkich, aby wpływ, który Polacy zdobyli sobie w Austryi, nie wyszedł na szkodę, lecz na korzyść austryacko-węgierskiej monarchii.

Młodoczesi a hr. Thun.

O ostatnich zajściach w Sejmie czeskim pisze w *Kuryerze Poznańskim* osoba dobrze znająca stosunki czeskie co następuje pod datą 31 grudnia:

„W dalszym ciągu kampanii, rozpoczętej na pierwszem posiedzeniu sejmu czeskiego wyjściem posłów młodoczeskich z sali obrad, gdy namiestnik hr. Thun zabrał głos, wczoraj wystąpił p. Herold jako woźny opozycyonistów młodoczeskich. Wystarczy postawić obok siebie te dwa nazwiska: hr. Thun i dr. Herold, aby wiedzieć po której stronie stanie każdy katolik, konserwatysta, polityk roztropny i... szczery przyjaciel ludności czeskiej. Hrabia Thun jest to jeden z pierwszych magnatów kraju, który w roku 1889, przyjmując urząd namiestnika Czech, złożył dowód chwalebnego poświęcenia, który się wyrzekł wygód swej wybitnej pozycyi towarzyskiej i majątkowej, aby pracować nad dobrem kraju. Jako namiestnik w najważniejszych, jak w najdrobniejszych sprawach zawsze gorliwie opiekował się interesem kraju, — wiedzą o tem zwłaszcza uboższe warstwy Pragi, które namiestnik z własnej kieszeni hojnie obdarza. P. Herold zaś przed 10 laty był nieznanym adwokatem na jednem z przedmieść Pragi. W roku 1886 udało mu się pokonać w burzliwej walce wyborczej dr. Kubaczkę, redaktora staroczeskiego *Hlasu narodu*, wejść do Izby poselskiej, popisywać się tam pustemi deklamacyami, potem w sejmie krajowym roku 1891 Polakom rzucił w twarz obelgę, że gotowi sprzymierzyć się z czartem, byle na tem skorzystali, w wakacyach nie wahał się bronić przed sądem Niemców, oskarżonych o sfałszowanie testamentu hr. Waldsteina i teraz tenże dr. Herold występuje w pozie wodza stronnictwa młodoczeskiego, a nawet w „państwie nieprawdopodobieństwa" wróżą mu jeszcze świetniejszą przyszłość!

W czasach, gdy coraz wyraźniej posady popłacają więcej, niż zasady, gdy polityczny charakter nieugięty staje się zjawiskiem coraz rzadszym, a z tańcem około złotego cielca rywalizuje równie wstrętny taniec około każdej, choćby najmniej szanownej siły — w takich czasach ten hrabia Thun, który wytrwał na stanowisku namiestnika, tworzy przykład pokrzepiający. Nie odgrywa w tem żadnej roli ambicya, bo pozycya towarzyska hr. Thuna jest taka, że on swą osobą urzędowi namiestnika dodaje blasku, nie odwrotnie, a tem mniej odgrywa rolę zapłata, bo niezawodnie hr. Thun o wiele więcej rozdaje na cele publiczne, niż wynosi pensya namiestnika. Jedynie z głębokiego poczucia obowiązku, aby bronić zasad konserwatywnych, interesów państwa i kraju, mąż ten naraża się na wrzaski warchołów i napaści dziennikarskie. Jest to zjawisko rzadkie, a więc zasługujące na tem żywsze oklaski.

We wczorajszej mowie dr. Herold nie mógł przeciwko namiestnikowi przytoczyć żadnych argumentów, mógł tylko walczyć przeciwko niemu sofizmatami. Oskarżył go, że wprowadził stan wyjątkowy, że ograniczył autonomią stolicy, że „wywarł wpływ" na wychowanie młodzieży i że kierował krajem „silną" ręką. Co do pierwszego zarzutu, to Młodoczesi w tym względzie występują jako istni „gracchi de seditione querentes". Bo stanu wyjątkowego nie zawinił nikt inny, tylko Młodoczesi, którzy systematyczną agitacyą tak dalece wzburzyli ludność, że na ulicach strzelano z rewolwerów, niedorostki tworzyli spiski (omladiny), a nawet posunięto się do skrytobójstwa (rzekomego zdrajcy Merwy). Młodoczesi wywołali taką sytuacyę, że każdy namiestnik byłby musiał wówczas zaproponować rządowi centralnemu wprowadzenie stanu wyjątkowego. Stan ten został wprowadzony przez gabinet hr. Taaffego, który przez lat kilkanaście okazywał Czechom najżywszą przyjaźń Został potem utrzymany przez gabinet księcia Windischgraetza, który stał zawsze w pierwszym rzędzie obrońców autonomii Czech; w parlamencie konieczność stanu wyjątkowego w Pradze uznali i posłowie polscy i klub Hohenwarta. Według teoryi p. Herolda, ci wszyscy dopuścili się „zbrodni" względem Czech. Na prawdę dopuścili się jej jedynie Młodoczesi. Oni, nie hr. Thun, ani hr. Taaffe itd., byli autorami stanu wyjątkowego.

Co do rzekomego ograniczenia autonomii Pragi, to zarzut ten odnosi się do faktu, że hr. Thun ostatecznie położył koniec dziecinnemu sportowi usuwania niemieckich napisów ulic. Na szkołę wywarł wpływ w tym kierunku, aby młodzież czeska nie zapomniała, że należy do Austryi. To nie wyklucza zdrowego patryotyzmu czeskiego. W każdym razie p. Herold nie doczeka się c. k namiestnika, któryby uważał jako swe zadanie wytępiać wśród młodzieży czeskiej przywiązanie do wspólnej monarchii, do której Czesi dobrowolnie przystąpili przed wiekami. Silną ręką istotnie hr. Thun kierował administracyą — silną a *sprawiedliwą!* To co w ustach radykalnego trybuna à la Herold jest zarzutem, na prawdę stanowi największą pochwałę rządów hr. Thuna.

To też przemawiając w imieniu 70 posłów kuryi więk. posiadłości, hr. Wojciech Schoenborn, najmłodszy brat kardynała, nie potrzebował szeroko rozwodzić się nad zasługami hr. Thuna. Wystarczało skonstatować, że p Herold nie przemawia w imieniu kraju, ani sejmu, lecz w imieniu radykalnego stronnictwa.

W nawiasie mówiąc, plotki znanego młodoczeskiego biura prasowego o układach z Niemcami, były prostą blagą. Nie toczyły się żadne układy i też nie może być na seryo mowy o tem, aby młodoczesi, zrażając sobie kuryę wielkiej posiadłości, mogli cośkolwiek zdobyć dla ludności czeskiej".

Kościół jubileuszowy m. Lwowa.

Na jednem z ostatnich posiedzeń podjęła Rada miasta Lwowa na wniosek dra Teofila Gerstmanna sprawę niezwykle ważną, która odbiła się wdzięcznem echem w sercach chrześciańskiej ludności tutejszej, a w razie — co daj Boże — szczęśliwego jej załatwienia, będzie trwałą pamiątką na cześć zbliżającej się 50-letniej rocznicy rządów ukochanego Monarchy.

Wiadomo powszechnie, jak wielkim jest brak świątyń Pańskich wśród niepomiernie wzrosłej w ostatnich dziesiątkach lat ludności naszego grodu, jak wskutek tego i coraz większego współudziału w nabożeństwie, przepełnione są zawsze kościoły parafialne, ale najdotkliwiej odbija się to na religijnem wychowaniu naszej młodzieży i dziatwy szkolnej i uniemożliwia wykonanie rozkazu Chrystusa: „Pozwólcie maluczkim przyjść do mnie!"

Niegdyś, w zeszłym wieku, kiedy ludność miasta Lwowa nie wynosiła wiele więcej nad 30.000, było jeszcze dosyć kościołów nieparafialnych ale po zniesieniu ich w latach 1782, 1783 i 4, pozostało ich bardzo niewiele, a w ciągu naszego wieku pomimo niemal pięciokrotnego wzrostu ludności przybyło zaledwie kilka małych kaplic klasztornych, w części tylko dla publiczności dostępnych. Nietylko więc liczne szkoły ludowe, lecz i średnie znajdują się w tem przykrem położeniu, iż tylko z największą trudnością wśród ścisku publiczności mogą brać udział w nabożeństwach kościelnych, a w szczególniejsze uroczystości jak n. p. w czasie nabożeństw majowych lub w dnie odpustowe staje się to wprost niemożliwem. Ażeby temu w części zaradzić, zbudowano w tutejszych gimnazyach IV-tem i Franciszka Józefa aule obszerne na wspólne nabożeństwa szkolne. Ale egzorty w szkole ani w małej części nie wywierają tego wrażenia i wpływu co wypowiedziane w kościele, aule zaś nieodpowiadają wcale duchowi katolickiego nabożeństwa, odzierają je bowiem z koniecznego uroku i odzwyczajają młodzież od uczęszczania do kościoła. Rozumiał to twórca i kierownik gimnazyum krzemienieckiego, wielką troską otaczając nabożeństwo szkolne jako główną podstawę wychowania publicznego. Powiada on wyraźnie, że „każda spowiedź wielkanocna, podobnie jak każda inna czynność religijna odbywać się winna w kościele gimnazyalnym". *)

Kiedy dzisiaj z powodu tak znacznego zwiększenia liczby szkół i zastępów uczącej się młodzieży myśleć niepodobna o osobnym kościele dla każdej szkoły, to jednak otworzenie jednego przybytku Bożego dla kilku najbardziej potrzebujących tego zakładów naukowych, jest zamiarem poczciwym i szlachetnym, któremu cała ludność chrześciańska gorącego użyczy poparcia.

W najprzykrzejszem położeniu znajduje się szkoła realna lwowska, która na nabożeństwa niedzielne aż do odległego kościoła OO. Dominikanów uczęszczać była zmuszona, ale już w najbliższym czasie i tego miejsca z powodu rozpoczynającej się tam restauracyi będzie pozbawiona z wielką i niepowetowaną krzywdą wychowania religijnego prawie pięciuset uczniów.

Społeczeństwu chrześcijańskiemu, dbającemu o swoją przyszłość, dopuścić tego nie wolno, choćby nawet i większą ofiarę trzeba było złożyć na cel tak ważny i święty. Dlatego uchwała Rady miejskiej jest chwalebnym dowodem zrozumienia ważności sprawy i nie można wątpić, że przy powszechnem poparciu spotka się także z życzliwością władz, od których to przedewszystkiem zależy. Nie chodzi tu bowiem o wybudowanie nowego kościoła, lecz odzyskanie jednego z dawnych dziś jeszcze istniejących, zniesionego w r. 1782.

U wstępu na starodawną ulicę Glinianską dziś Łyczakowską zwanej, wznosi się obok zabudowań urzędu celnego kościółek zbudowany jeszcze z początkiem XVII wieku pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi, a po zniesieniu obrócony na skład tytoniu. Ze zgodnych zapisków historyków naszego grodu Zimorowicza i Chodynieckiego dowiadujemy się, że niegdyś w tem miejscu przy kaplicy św. Anny mieszkało kilkanaście zakonnic trzeciej reguły św. Franciszka nie obowiązanych do klauzury. Po zaprowadzeniu tejże dekretem Stolicy Apostolskiej, zbudowały PP. Bernardynki po części nakładem Jadwigi Mniszchowej, wojewodziny Sandomierskiej klasztor i ze składek mieszczan lwowskich kościół, który na początku r. 1607 Jan Zamojski, arcybiskup lwowski (1605 — 1614) w przytomności licznego zgromadzenia ludu „szczęśliwie pobłogosławił, ponieważ świątynia i klasztor Panien zupełnie ukończony został".

Z późniejszych dziejów wiemy tylko, że w r. 1749 zakon ten ksieni Marcelina Dąbrowska znacznie rozszerzyła i że wreszcie w r. 1782 klasztor i kościół zostały zniesione.*)

Jeżeli więc obecnie mieszczaństwu lwowskiemu powiedzie się odzyskanie tego kościoła od władz rządowych przez wybudowanie natomiast odpowiedniego magazynu, o będzie to dalsza ofiara na ten sam cel święty, na który niegdyś składali praojcowie. Ma w sobie niewypowiedziany urok ta łączność i udział odleglejszych pokoleń w wielkich dziełach religii i cywilizacyi. Także uczucie katolicko-polskie znajduje niemałą w tem dumę, że już na wieki całe przed uznaniem powszechnem dogmatu Niepokalanego Poczęcia tu u nas Polsce wiara i cześć szczególniejsza dla Królowej niebios była tak silną, że pod tem wezwaniem budowano świątynie.

Wnętrze kościółka trójnawowe z absydą zachowało się w jak najlepszym stanie i zachwyca szczególniejszą pięknością stylu i świeżością bardzo licznych malowideł al fresco.

Nie wątpliwie, że komisya 10 radców, wybrana przez Radę miejską dla przeprowadzenia tej sprawy, przejęta świętością celu i podniosłością swego zadania, nie będzie szczędzić zabiegów ani starań, ażeby jak najrychlej do pomyślnego doprowadzić wyniku. Czas jest krótki, gdyż głównie rozchodzi się oto, ażeby już w zbliżającym się roku jubileuszowym 50 letniego panowania naszego miłościwego Monarchy otwarcie tego kościoła było uroczystą manifestacyą naszych uczuć wierności i szczerej głębokiej wdzięczności. *Michał Lityński.*

*) Tadeusz Czacki i jego zasługi w dziedzinie wychowania publicznego. *Muzeum*, roczn. X. str. 588.

*) Bartłomieja Zimorowicza „Historya miasta Lwowa" aż do r. 1672 str. 275.

Ks. Ignacego Chodynieckiego Zakon Karmelitów. Hist. miasta Lwowa, Lwów 1829, str. 390 ustęp 7.

Zwiększanie się dobrobytu.

Do ulubionych argumentów, używanych przez przeciwników dzisiejszego porządku społecznego, należy twierdzenie, iż korzyści z podniesienia się handlu, przemysłu i uprawy roli ciągną wyłącznie tylko klasy posiadające. Twierdzą oni nawet, że wieśniak i robotnik za czasów pańszczyźnianych, kiedy to pan jego starał się o dobry dla niego wikt, mieszkanie i ubranie, miał się daleko lepiej niż dziś, gdy używa w całej pełni swobód obywatelskich. Dziś ma on tylko wolność umrzeć z głodu.

Cyfry, które dobitniej przemawiają, niż wszelkie frazesy, stwierdzają jednak zupełnie co innego. Wykazują one, że stopa życia klas „nieposiadających" wcale się nie obniżyła i że całe masy robotników wcale nie żyją w nędzy, dowodem tego olbrzymie podniesienie się ilości spożywczych wiktuałów. Podniesienie się to jest tak wielkie, iż żadną miarą nie można przypisać go tylko wzmożonej sile konsumcyjnej klas posiadających. Juliusz Wolf w dziele swem: „Socyalizm i kapitalistyczny porządek społeczny" wykazuje, iż w Anglii w r. 1841 spożyto *27.000 funtów* sprowadzonej z za granicy słoniny i szynki. W r. 1889 cyfra ta wynosiła *4,200 000 centnarów*. Czyżby tę olbrzymią ilość słoniny i szynki miała spożyć tylko ta niewielka grupa angielskich bogaczy? Podobne cyfry wykazują i inne artykuły spożywcze. W porównaniu do dziesięciolecia między rokiem 1840 a 1849, przywieziono do Anglii w latach od 1885 do 1889 pszenicy w stosunku 100:497 na głowę, masła w stosunku 100:810, jaj 100:960 herbaty 100:369 i t. d. Czyż więc to niezwykłe pomnożenie się konsumcyi artykułów spożywczych przypisać można tylko bogatym, których liczba według socyalistycznych teoryi wskutek wszystko pochłaniającej siły kapitału z każdym rokiem się zmniejsza?

Saski statystyk Rudolf Martin badał, ile Saksonia zużywa mięsa i doszedł do następujących rezultatów. Przy wzroście ludności wynoszącym 129 procent (w czasie od r. 1835 do 1895 wzrósł procent konsumcyi mięsa o 403; czyli na głowę wzrósł on z 15 8 kg. na 34 6 kg. Martin dowodzi, iż wkrótce konsumcya mięsa w Saksonii dosięgnie cyfry, której nie przekroczy, gdyż wszyscy będą mieli mięsa poddostatkiem.

Bardzo zajmujące są dane, jak właśnie konsumcya mięsa wzrastała w miastach przemysłowych. W znanem z przemysłu mieście saskiem Chemnitz konsumcya mięsa wzrosła z 27 6 kg. na głowę w r. 1885 na 48 1 kg. i od lat dziesiątka znajduje się na tej samej wysokości. Taki sam wzrost konsumcyi mięsa wykazują i inne miasta fabryczne w Saksonii.

To tak wysokie podniesienie się konsumcyi mięsa — pisze Martin — świadczy o tem, że położenie klas pracujących w tym czasie znacznie się polepszyło.

Nietylko jednak wzrasta konsumcya mięsa, wzrasta również podatek konsumcyjny, co także świadczy, iż ludność dziś więcej spożywa artykułów żywności, niż dawniej. W r. 1894, podatek ten wynosił w Saksonii na głowę po 451 marek i 32 f., przed 26 laty zaś wynosił 327 m. 41 f. na głowę. Lecz podczas, gdy można powiedzieć, że podatek konsumcyjny wzrósł wskutek tego, że bogacze sprowadzają sobie wiele rozmaitych przysmaków z zagranicy, to nie można jednak wzrostu konsumcyi przypisać wyłącznie temu, żeby bogacze zjadali więcej niż dawniej wołowiny lub wieprzowiny.

Frazes przeto o zubożeniu klas pracujących, rzucany przez socyalistycznych agitatorów, nie wytrzymuje w obec cyfr krytyki.

Z izby sądowej.

(*Potwarz*).

Wczoraj zamieściliśmy krótką notatkę o procesie pomiędzy p. Olszewskim redaktorem *Kuryera Warszawskiego* a hr. Milewskim, który uznany winnym potwarzy, zasądzony został na 5 dni aresztu.

Przyczyny tego procesu były następne: Swojego czasu odbyła się w Wilnie rozprawa sądowa pomiędzy Leonem hr. Pusłowskim a hr. Milewskim W toku tej rozprawy hr. Pusłowski przytoczył fakta i użył wyrazów mocno dla hr. Milewskiego niepochlebnych. *Kuryer Warszawski* zamieszczając sprawozdanie o rozprawie sądowej przytoczył dosłownie użyte przez hr. Pusłowskiego wyrażenia. P. Milewski z tego powodu wniósł przeciw p. Olszewskiemu jako redaktorowi *Kuryera*, pozew o obrazę czci i oczywiście przegrał. W pierwszych dniach grudnia ubiegłego roku przybył p. Milewski w towarzystwie swego adwokata p. Białego do redakcyi *Kuryera Porannego* i zaczął rozmowę z redaktorem *Kuryera Porannego* p. Fryzem w te słowa: „Nie posądzam pana o złą wiarę, ani o przekupstwo, jak to jestem pewien co do p Olszewskiego, którego przekupił p. Plater". Redaktor p. Fryze przerwał w tej chwili dalszą rozmowę i zażądał od p Milewskiego odwołania obelgi na kolegę. P. Milewski odmówił temu żądaniu.

Gdy wszelkie starania o załatwienie tej sprawy na innej drodze spełzły na niczem, redaktor Olszewski wniósł przeciw p. Milewskiemu skargę o potwarz. Podczas rozprawy, która odbyła się wobec sędziego pokoju 15 rewiru Warszawy, świadkowie zgodnie fakt potwarzy stwierdzili. P. Milewski oświadczył, że słów potwarczych nie użył, że ich nie pamięta, a jeśli ich użył to mu się chyba „wyślizgnęły". Sędzia pokoju skazał — jak wiadomo — p. Milewskiego na 5 dni aresztu policyjnego.

* * *

(*Oszustwo*)

Bezczelnego oszustwa dopuścił się w Odesie żyd Chaim Nadreczny. Zgłosił się on do kantoru rosyjskiego towarzystwa transportowego z prośbą o wyekspedyowanie do Warszawy za zaliczeniem pocztowem pak z włosami kobiecemi, którytо transport pragnie ubezpieczyć na 23.000 rubli. Gdy już cały transport złożono w magazynie kantoru, postanowiono zajrzeć do jednej z pak, ażeby sprawdzić jej zawartość. Oszust, który przybył ze swemi pakami do kantoru po odbiór kwitu, widząc, że służba przystępuje do otwarcia jednej paki, zaczął protestować energicznie, grozić sądem itd. Naturalnie, że protesty te pogorszyły jeszcze sprawę. Otwarto pakę i znaleziono w niej odpadki szczeciny. Uwiadomiono policyę, ktora w obecności sędziego śledczego dopełniła dalszej rewizyi. W innych pakach znaleziono taką samą szczecinę, z wyjątkiem ostatniej, w której znaleziono skrzynkę drewnianą, a w niej dziesięć gwoździami przybitych, równolegle do siebie idących pasm żółtego lontu, używanego do zapalania papierosów. Nadto w koszyku znajdowały się odpadki szczeciny i trawa, a w niej leżały tu i ówdzie pudełka z zapałkami szwedzkiemi, kilka pudełek smaru, pomięszanego z sadłem, i sześć pęcherzy z waseliną. Górny koniec lontu był zapalony, a dolny leżał na dnie koszyka przy zapałkach.

Kombinacya była bardzo prosta. Towar miał być wysłany koleją. Lont tliłby się jeszcze całą dobę, a potem już w wagonie zapaliłyby się zapałki i oleje, i w rezultacie spłonąłby cały transport, a wysyłający zgarnąłby całą premię asekuracyjną.

W mieszkaniu Nadrecznego znaleziono formalne laboratoryum chemiczne. W kilku naczyniach mieściły się roztwory takiego samego tłuszczu, jaki wydobyto z koszyka.

MAŁY FELJETON.

Aktorka.

Józef Kotarbiński, jeden z najznakomitszych polskich aktorów, miał tymi dniami odczyt w Poznaniu: „O sztuce aktorskiej." Z bardzo zajmującej i barwnej jego pracy, pełnej świetnych spostrzeżeń, wyjmujemy ustęp, w którym prelegent mówił o aktorce:

„Aktorka — rzekł — jest bardziej niż każda inna kobieta wystawiona na cenzurę moralną, a nadto życie jej musi z zasadniczych powodów różnić się od przeciętnego typu życia kobiety. Jest ona ciągle na widowni, budzi wrażenie jako artystka, podoba się i nęci jako kobieta. Uroda w jej zawodzie bywa obowiązkiem. Na scenie jest główną przedstawicielką erotyzmu; nic dziwnego więc, że po za sceną budzi mnóstwo platonicznych i nieplatonicznych zachwytów. Żyje w amosferze podwójnie gorączkowej, wśród warunków nienormalnych, pod wpływem których rozwijają się pewne jej właściwości. Jako artystka bywa ona gorliwszą od mężczyzny, doskonale uczy się roli, posiada lepszą pamięć wyrazową; traktuje swój zawód gorączkowo, ale z pedantyczną nieraz dokładnością. Dźwignią jej działania jest daleko bardziej ambicya osobista, aniżeli bezinteresowne zamiłowanie do sztuki; dlatego częściej opuszcza teatr dla karyery niż mężczyzna, dlatego bardziej grzeszy zawiścią i niechęcią rywalizacyjną.

Na scenie jest aktorka słońcem sztuki, główną wyrazicielką poezyi życia i miłości. Scena jest jedyną sferą działania, w której kobieta nie tylko staje na równi z mężczyzną, ale go często przewyższa. Ponieważ teatrem rządzą mężczyźni — nic dziwnego, że kobieta bywa w nim potężną. Skłonną jest z natury do wzmacniania swej karyery za pomocą polityki praktycznej. Kobiece wpływy w teatrze bywają bardzo silne. Jeżeli stanowisko wpływowe zdobędzie artystka znakomita o wyższych aspiracyach (jak n. p. Modrzejewska), może przynieść korzyść instytucyi, chociaż inne talenty nie mają wtedy pola do rozwoju. Wogóle jednak rozwielmożnienie się wpływu kobiet w teatrze wydaje rezultaty ujemne.

Niebezpieczną dla aktorki bywa zbytnia ambicya, bo jest to namiętność, która psuje i paczy charaktery. W pogoni za karyerą i powodzeniem potrzebuje wielkiego taktu, aby nie przekroczyć linii demarkacyjnej, po za którą zaczyna się pochyłość, prowadząca do zamętu moralnego, do nieprzebierania w środkach, nawet do tragicznych katastrof. Faktem jest, że życie zawodowe aktorki trudno się kojarzy z obowiązkami kobiety w rodzinie.

Są jednak organizacye, które godzą te sprzeczności, są charaktery, które umieją w trudnych warunkach ocalić i utrzymać godność człowieczą i artystyczną. Zresztą do życia i działania kobiet twórczych w literaturze i sztuce niepodobna przykładać wogóle tej miary jaka się przykłada do ludzi zwykłych. Natury bogate, wrażliwe, żyjące nerwami i fantazyą, nie zawsze się naginają do *juste milieu* (do średnicy) potocznego życia. Dla tego też w ocenie wartości wewnętrznej artystek brać należy pod uwagę nie tyle formalizm obyczajowy, ile przedewszystkiem talent, i jeszcze raz talent, a pod względem etycznym dobroć serca miłość dla sztuki i ludzi, szlachetność instynktów, która wstrzymuje od niskich konszachtów i łagodzi egoizm, właściwy wogóle naturom artystycznym.

KRONIKA.

Lwów 8 stycznia.

JE. p. Namiestnik, książę Eustachy Sanguszko, powrócił do Lwowa wraz z małżonką.

U arcyksiężnej Stefanii był 3 bm. obiad, na którym obok wielu innych dygnitarzy byli hr. Agenor Gołuchowski z żoną, Kazimierz hr. Badeni z żoną i dr. Biliński.

Mianowania. Cesarz zamianował sekretarza ministeryalnego dra Eugeniusza barona Przerąb Hauenschild-Bauera, radzcą sekcyi w ministerstwie oświaty, zaś zarządzcom i naczelnikom urzędów w etacie galic. zarządu salinarnego Aleksandrowi Machowiczowi i Karolowi Nigrinowi nadał tytuł i charakter radzców górnictwa.

Sąd polubowny w sprawie Morskiego oka złożony być ma — jak donoszą z Wiednia — z jednego członka sądu najwyższego austryackiego i z jednego członka królewskiej kuryi węgierskiej. Obaj członkowie sądu obrać mają trzeciego, jako superarbita.

Karnawał rozpoczął się pięknym wieczorem w domu Stanisławów hr. Badenich. Tańczono ochoczo w małem kółku przy dźwiękach orkiestry 30 p. p.

Julian Klaczko otrzymał z okazyi 100-letniego jubileuszu *Institut de France*, krzyż oficerski legii honorowej

Nowe konsorcyum budowlane zawiązało się we Lwowie z poważnych kapitalistów. Konsorcyum to zakupuje znaczną przestrzeń gruntów położonych za parkiem Kilińskiego z zamiarem budowania na oddzielnych parcelach parterowych domów o 5 pokojach kuchni, piwnicy i innych wygód z odpowiednim ogródkiem. Każdy taki dom z ogródkiem oddany zostanie w posiadanie tego, który przez lat 15 zobowiąże się płacić po 400 złr. rocznie — po 15tu zaś latach staje się nieograniczonym właścicielem. Skoro się zbierze 100 takich spłacających właścicieli, konsorcyum natychmiast przystępuje do budowy i w rok odda każdemu dom mieszkalny z ogrodem do użytku.

Objaśnić jeszcze winniśmy, że każdy pragnący nabyć taki dom z ogrodem będzie musiał pierwsze 400 złr. złożyć z góry, a później przez lat 14 w miesięcznych ratach.

Konsorcyum od najbliższej stacyi tramwaju elektrycznego ma zaprowadzić konne omnibusy do swoich willi.

Szczegóły, oraz nazwiska firmowych konsorcyum ogłoszone zostaną niebawem.

Wzory pisma rondowego ułożył metodycznie p. L. Peszkowski i wydał w litografii p. W. Micińskiego w Krakowie Autor pracą tą zaradził koniecznej potrzebie, albowiem szkoły nasze z braku polskich wzorów posługiwały się dotychczas wzorami niemieckich autorów. Wzory niemieckie były zbyt drogie i nieodpowiednie, bo nie posiadały prawie połowy liter polskich, obejmując jedynie alfabet łaciński. Wzory p. Peszkowskiego odznaczają się też większym wdziękiem estetycznym, niż wzory niemieckie przytem są znacznie tańsze, bo wzór kosztuje tylko 3 ct., a układ ich dozwala cały alfabet w 4 wzorach wyczerpać. Tak wzory, jak i zeszyty są do nabycia w składzie towarów piśmiennych J. F. Fischera w Rynku, w Krakowie.

Niesubordynacya w armii. Jedno z pism prowincyonalnych przynosi następującą nieprawdopodobną wiadomość: W Jarosławiu, służący jednego z oficerów, korzystając z dłuższej nieobecności swego pana, sprowadził do mieszkania jego całe towarzystwo znajomych sobie ułanów. Podochociwszy sobie, zaczęli wyprawiać krzyki i hałasy, które sprowadziły patrol 40 p. p. pod dowództwem zastępcy oficera. Gdy ułani nie posłuchali wezwania do oddalenia się, zastępca oficera kazał nałożyć bagnety, ułani w odpowiedzi dobyli szabel. Dowodzący zakomenderował ognia — żołnierze odmówili posłuszeństwa. Komendant patrolu, opuszczony przez swych podkomendnych, posłał do kasarni po pomoc. Tymczasem jeden z ułanów ciął szablą obecnego przy tej awanturze kadeta 1 pp. Dopiero silniejszy oddział, przywołany z kasarni, przyaresztował i rozbroił ułanów, — a zapewne i nieposłusznych żołnierzy piechoty. Władze wojskowe zarządziły dochodzenie sądowe.

Tyle słów pisma prowincyonalnego. My, szczerze mówiąc, w wiadomość tę nie wierzymy. Jeżeliby jednak miała być prawdziwą, to dawałaby więcej do myślenia, niż niejeden inny objaw rozkładu społecznego.

Los wychodźców ruskich w Brazylii. Z miasta St. Mateus donoszą Zamierzam donieść Wam słów kilka o losie naszych wychodźców, którzy z transportem moim przybyli. Transport mój składał się przeważnie z Rusinów, którzy po największej części osiedleni zostali w sąsiedniej nam kolonii Rio Claro. Są już oni wszyscy na swych parcelach i trzebią lasy pod feijon (fasolę).

W Rio Claro jest tylko ta niedogodność, że szakrów, to jest parceli im wyznaczonych, niektórzy znaleść nie mogą i to, że 5 i 6 kolonii 20 klm. po żywność dwudniową chodzić muszą. Mieliśmy teraz kilkudniowy deszcz, Iguassu wezbrał i zalał łąki. Koloniści siedzą teraz w domu i tną las — wkrótce zaczną wyrabiać hervę (roślinę podobną do naszego żyta), przy czem bardzo pięknie zarobkują. Wogóle kolonizacya rolnicza w Paranie jest dla ludu bardzo korzystną, nieszczęściem jest tylko to, że jak już w poprzednich listach wspomniałem, leniwieją nasi Rusini w przerażający sposób i co gorsza rozpijają się szlachetną „cachassą" Rusini w Rio Claro, którzy ze mną przybyli i o których mnie ciągle echa dochodzą, zabierają się energicznie do cięcia i palenia lasu, tylko, że narzekają, że nie zastali tego wszystkiego czego się spodziewali, a przedewszystkiem arcyksięcia Rudolfa i Stefanii. Narzekają też że nie mają swego księdza i „sudu," narzekają że mają za daleko chodzić po żywność, że okolica górzysta, las za gęsty, że nie ma chleba etc. etc. Teraz dają im już mąkę także, bo do farinhi (gatunek mąki brazylijskiej) nie mogli odrazu przywyknąć. Właściwie rzecz biorąc pod rozwagę i rozpatrując się trzeźwo, przyrównawszy dolę chłopa naszego w Brazylii do losu jego w Galicyi, każdego zastanowić musi to narzekanie Rusinów. Przecie ten człowiek wybierając się tu, mówił „naj bude hirsze, szczoby insze," był przygotowany przez Towarzystwo S-go Rafała na najgorszą dolę, biedził się przez drogę, czy dostanie choć „kusnyczok" „horodcia," a tu dostaje 60 morgów i narzeka. Pracować przecie i w kraju musiał, i to pracować ciężko, tu zaś wie bo ma około siebie dowody na starych kolonistach, że praca przyniesie mu plon stokrotny. Może jed...

...sta. Kilka przyzwoitych kościołów, skromny ratusz i kilka bazarów handlowych nadawały osadzie charakter miejski. Na najwyższem miejscu budowano koszary dla wojska angielskiego, bo wtedy chwilowo Anglicy opanowali kraj. Okolica jednostajna, bez drzew, ożywiona farmami boerów. W samem mieście obok znacznego zastępu Anglików, było wielu Holendrów, ale nie urodzonych w kraju, a więc nie boerów, lecz przybyłych w ostatnich czasach z Europy.

Wtedy, oprócz Pretoryi, były tylko jeszcze dwa miasta w Transwaalu: Potschefstrom i Leydenburg. W ciągu ostatnich lat 15 nie tylko Pretorya rozwinęła się na sposób amerykański, ale nadto jakoby przez noc z ziemi wyrosły nowe miasta, mianowicie Johannesburg, zawdzięczające swój rozkwit odkryciu min złota. Na puszczy, w ciągu 6 lat, powstało to miasto, liczące dziś około 70.000 mieszkańców. Ludność składa się w drobnej części z Holendrów, przeważnie z Anglików i Niemców, którzy kierują wydobywaniem złota, tudzież tysięcy murzynów, którzy w licznych fabrykach parowych czyszczą złoto. Kilku boerów tej okolicy dorobiło się nagle znacznych majątków, bo grunta, których wartość przed odkryciem min złota, obliczano na 10 000 marek, sprzedali po milion marek i więcej. Ale w ogóle boerowie niechętnem okiem spoglądają na nagły napływ „uitlaenderów". Łatwo to zrozumieć, gdy zważymy, że w całym Transwaalu boerów jest co najwięcej 40.000 (inne źródła podają niższe cyfry); pomiędzy nimi od dawna przebywa około 20.000 Anglików. Ludność czarną (kafrów, beczwanów i basuto) obliczają na 300.000 dusz. Boerowie więc tworzą stosunkowo drobną mniejszość, która już tylko sztucznym sposobem utrzymuje swą polityczną przewagę w kraju. *E.*

z czasem oswoją się ci ludzie w nowej ojczyźnie, przystosują się do warunków bytu tutejszych i zapomną o arcyksięciu Rudolfie i „pryncyżni.“ Starzy koloniści opowiadają, że naprzeciw biedy emigracyjnej, jaką oni jako pierwsi pionierzy przebywali, los Rusinów jest bez porównania lepszym, i wcale nie trudnym do zniesienia. Toż przecie między pionierami, las tnącymi własną ręką, są i ludzie inteligentni, którzy pracują ciężko, a przecie nie narzekają. Nasz chłop ruski dobry jest u siebie za piecem, na pioniera on chyba nie zdatny. Myślałem już sam, że tylko ci, co ze mną przyjechali tak narzekają, ale poznałem, że oni wszyscy jednego typu! Słuchałem bowiem narzekań emigrantów z partyi ks. Iwanowa, Trawińskiego i partyj, które szły po mnie. U wszystkich jedna piosnka na ustach „nyniбym wertaw do »Galicyi«.“ Co ci ludzie chcą — nie wiem. — Oto jest wszystko, co na razie powiedzieć mogę. Wspomnieć mi jeszcze wypada, że Towarzystwo imienia K. Puławskiego zamianowało p. Saporskiego swym członkiem honorowym za przysługi temuż Towarzystwu i kolonii przez niego świadczone, tak podczas swego urzędowania, jako szef kolonizacyi, jako też i teraz. Wszyscy jesteśmy też tego zdania, że potrzeba nam jak najprędzej konsula austryackiego, któryby dobrze mówił po polsku.

Do Kurityby niedawno przybyło tu z Hamburga własnym kosztem 28 immigrantów z Galicyi, zostali oni odesłani na kolonie rządowe do Lapy. Teraz znowu przybył transport immigrantów polskich z przeszło 400 osób pod przewodnictwem ks. Stanisława Osowskiego, pochodzącego z Królestwa Polskiego. Wszyscy ci emigranci umieszczeni zostali na kolonii Agua Amarella.

Ks. Trawiński, który dał nam się tu poznać z patryotycznej działalności, wrócił szczęśliwie do Europy i osiadł w Turynie w klasztorze Salezyanów“.

Sensacyjne odkrycie. Pod tym tytułem pisze *Presse* o najnowszej zdobyczy z dziedziny fotografii, którą mamy podobno zawdzięczać prof. Routgenowi (? zdaje się, że „Röntgenowi“) z Würzburga. Uczony ten przekonał się, że rurka szklana, w której znajduje się próżnia, wysyła pod wpływem wyładowań elektrycznych, oprócz światła, także inne promienie dla oka niewidzialne i dotąd nieodkryte. Promienie te mają własność, że przechodzą przez ciała nieprzeźroczyste, np. przez drzewo, przez ciało ludzkie itp., ale nie przechodzą przez metale lub kości. Ponieważ te promienie działają na płyty fotograficzne, zatem można jakiś przedmiot metalowy, umieszczony za ścianą drewnianą, a oświetlony taką rurką, odfotografować tak, jak gdyby żadnej przeszkody nie było. N. p. ciężarki metalowe do wag, zamknięte w drewnianej kasetce, dadzą się odfotografować tak, jakby kasetki nie było. Ręka z pierścionkami na palcach wygląda na fotografii jak ręka szkieletu z pierścionkami, siedzącemi luźno na kościach, gdyż mięśnie dłoni i palców, jako przeźroczyste dla tych nowoodkrytych promieni, zupełnie się nie pojawiły na fotografii. Gdyby to było prawdą, to wynalazek ten znalazłby niezmiernie obszerne zastosowanie. Tak naprzykład: w razie jakiegoś skomplikowanego złamania kości, potrzebowałby chirurg tylko odfotografować uszkodzone miejsce, aby najdokładniej się poinformować o położeniu odłamków kości; podobnie, gdyby jakieś obce ciało, kula, odłamek granatu itd. było w ranie. Domy drewniane nie mogłyby mieć żadnych tajemnic, gdyż ściany ich nie oparłyby się potędze ciekawego fotografa. Takie wiadomości, mające krążyć w „uczonych kołach fachowych“ wiedeńskich, podaje *Presse*, zastrzegając się, że rzecz, choć wygląda na *prima aprilis*, lecz jest „w kołach poważnych poważnie traktowana.“ Ze względu, że gdyby się sprawdziła, byłaby odkryciem niezmiernej wagi, podajemy tę fantastycznie wyglądającą wiadomość zupełnie przedmiotowo, czekając na zdanie, które z kół fachowych zapewne wyjdzie.

Areszt domowy. Cesarz Wilhelm skazał księcia Fryderyka Leopolda na tydzień aresztu domowego za to, że jego żona nie przyjęła odwiedzin cesarzowej.

Książę Franciszek Auersperg narobiwszy około 300 000 zł długów umknął z Austryi w towarzystwie swej przyjaciółki p. Dory Parnes. W liczbie wierzycieli księcia znajdują się kelnerzy, portyerzy hoteli, jubilerzy, a nawet — tancerki i szansonistki.

O dwóch morderstwach popełnionych w Wiedniu donoszą tamtejsze pisma. Niejaki Cerjak, pomocnik kowalski, zamordował swoją kochankę Barbarę Komarek. Cerjak był pijakiem nałogowym i liczył lat 39, jego kochanka 34. Morderca rozbił swojej ofierze głowę żelazkiem do prasowania i następnie przeciął gardło. Policya znalazła go wpatrującego się bezprzytomnie w ofiarę.

Drugie morderstwo i samobójstwo popełniono w pewnym hotelu. Kupiec Henryk Nathan zastrzelił młodą 20-letnią dziewczynę, a następnie siebie. Prawdopodobnie działali oboje w porozumieniu. Henryk Nathan był żonatym, zastrzelona dziewczyna była u niego kasyerką.

Oryginalne powołanie. Niezwykłe ogłoszenie urzędowe czytamy w dziennikach poznańskich: „Panna Klara Pietsch, córka tutejszego prezesa senatu, w dniu 9 listopada r. 1895 wyszła z domu rodziców i zginęła bez wieści. Zaginiona liczy lat 20 wieku, jest wzrostu wysokiego, ubrana była w ciemno-błękitną suknię wełnianą, bronzowy żakiet i kapelusz bronzowy. Po raz ostatni widziano ją w pobliżu Schillingthor. Zaginiona wyrażała kilkakrotnie w ostatnich latach życzenie przyjęcia służby *u ludzi ubogich dla poprawienia stanu swego zdrowia.* Możliwem jest, iż zaginiona uczyniła obecnie zadość swemu powołaniu, upraszа się przeto panów nauczycieli ludowych itp. o przysłanie wiadomości telegraficznej w razie wykrycia miejsca pobytu panny Klary Pietsch. Poznań, 24 listopada 1895. Wydział rządowy szkolny (podpisano) *Krahmer*.“

Adwokat fin de siecle. Donieśliśmy przed kilku dniami o ucieczce adwokata berlińskiego Friedmanna. Friedmann, utalentowany i lubiony w szerokich kołach, posiadający liczną klientelę adwokat, miał rocznego dochodu około 200.000 marek. Szalona rozrzutność, namiętność do gry i innych „szlachetnych“ rozrywek zrujnowały go kompletnie i zmusiły do zaciągania długów, sprzeniewierzenia depozytów i fałszowania weksli. Nie mogąc wybrnąć z fatalnego położenia ulotnił się w towarzystwie swej przyjaciółki, mając w kieszeni 180 000 marek, otrzymanych od jednego z banków tutejszych na uregulowanie długów.

Ale na tem nie koniec. Friedman był obrońcą w sprawie Kotzego, ochmistrza dworu berlińskiego i jako taki miał w rękach przeróżne dokumenta kompromitujące swą treścią wysokie sfery towarzystwa berlińskiego. Otóż jeden z nakładców londyńskich ofiarować mu miał pół miliona za napisanie broszury skandalicznej w sprawie Kotzego. Rozumie się, że Friedman będąc w posiadaniu kopii kompromitujących dokumentów, propozycyę przyjmie, aby potem z pełnym pugilaresem pojechać do Ameryki.

Zmarli. Antoni Kallenbach, ojciec profesora uniwersytetu w Fryburgu dra Józefa Kallenbacha, zmarł w Kamieńcu podolskim. Zmarły prowadził od r. 1846—1858 we Lwowie księgarnię i wydawnictwo dzieł popularnych. Następnie prowadził słynną obywatelską księgarnię w Żytomierzu. — Na cmentarzu ewangielickim w Wilnie pochowano zwłoki śp. Hipolita Puttkamera, właściciela dóbr Korelicz w powiecie nowogrodzkim, wnuka Maryi z Wereszczaków Puttkamerowej, niegdyś ideału Adama Mickiewicza. — Hermina z Porthów Machekowa, żona em. radzcy sądowego, matka znanego okulisty, w Samborze 4 b. m. w 71 roku życia — Rozalia z Petrowiczów Czaykowska, właścicielka dóbr ziemskich, matka posła Władysława Czaykowskiego i śp. Alfonsa Czaykowskiego, przeżywszy lat 82, zmarła dnia 6 stycznia w Mewedowcach.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 2° R., w poł. — 1° R. Bar. 765. Spada. Śnieg.

Przytomna.

On (w zapale) By żyć z tobą pani, gotów jestem poświęcić wszystko: honor, tytuł i majątek.

Ona. A więc cóż dla mnie zostanie?

Teatr. Dziś we środę po raz pierwszy: „Odgrzewana miłość“, komedya w 4 aktach a 5 odsłonach Żegoty Krzywdzica. Jutro we czwartek po raz drugi „Odgrzewana miłość“. W piątek „La Roussotte“, operetka w 3 aktach Lecocq'a. Występ pani Anny Judic i operetki francuskiej.

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Wczoraj zatem rozpoczęto nareszcie sezon operowy „Faustem“. Rozpoczęto zaś po części jakby bez humoru i ochoty. Czuć było przymus i pańszczyznę, co razem z niedyspozycyą śpiewaków nie robiło dobrego wrażenia na słuchaczy. P. Thorsen Jankowska w roli Małgorzaty zadowolniła i grą i temperamentem. Głos śpiewaczki w średnicy posiada wdzięk i bardzo dobrą emisyę, więc „niesie“ i podoba się bardzo — górze zarzucić trzeba zbyteczną jasność tonu, przytem forsowanie i rozwlekanie. Być może, że wielka scena zniosłaby jaskrawsze efekta wokalne, nawet na mniejszej scenie lecz w głębszym jej planie nie raziłyby one w tym stopniu, jak wówczas, gdy śpiewak, zwyczajem przyjętym od miłych Włochów, spowiada się tak przejmująco przed kinkietami. Do najszczęśliwszych ustępów wczorajszego występu p. Thorsen należy kilkanaście taktów z odsłony drugiej, odśpiewanych bardzo pięknie — ballada, z temperamentem oddana scena w kościele, wreszcie dobrze pojęte reminiscencye w scenie w więzieniu. Czekamy z niecierpliwością dalszych występów, gdyż po „Fauście“ na pewne o rodzaju głosu sądzić niepodobna.

P. Roland jako Faust z bardzo trudnego zadania wyszedł bez szwanku, co mu zaszczyt przynosi.

Reszta ansamblu, do której należą p. Kasprowiczowa, p. Jeromin, p. Szymański, daje rękojmię, że — byleby tylko zmieniono, a na razie przynajmniej odświeżono repertuar — sezon operowy będzie zajmujący. *M. Sołtys.*

SPORT.

Jeszcze o „Szlachciance“.

Nawiązując do statystyki wyścigów konnych w roku 1895, której ważniejsze daty podaliśmy na tem miejscu w numerze 2 *Przeglądu* z dnia 3 bm., musimy wspomnieć o sprawie, która w ubiegłym roku bardzo żywo była dyskutowaną w sportowym świecie galicyjskim słowem, pismem i drukiem, mianowicie o dyskwalifikacyi klaczy Jana hr. Tarnowskiego „Szlachcianki“.

Fakta są wiadome. Dnia 1 lipca 1895 r. na torze lwowskim do biegu o nagrodę lwowską (2500 koron zwycięzcy, 500 koron drugiemu koniowi) stanęły trzy konie. Jana hr. Tarnowskiego z Chorzelowa klacz 4letnia „Szlachcianka“ i klacz 5letnia „Telimena“, oraz p. J. Krzysztofowicza klacz 5letnia „Gruzian Princess“.

Pierwsza do mety przybyła „Szlachcianka“, druga „Gruzian Princess“, a właściciel tej ostatniej uznał za stosowne założyć protest przeciw wygranej na podstawie tego, że według propozycyi o nagrodę ubiegać się mogły tylko konie w Galicyi urodzone, zaś „Szlachcianka“ urodziła się w król. węgierskiem stadzie Kisber.

Dyrekcya wyścigów lwowskich utrzymała protest, tj. odsądziła „Szlachciankę“ od prawa do wygranej, a przyznała ją „Gruzian Princess“.

Urzędowy wykaz statystyczny wyścigów w r. 1895, wydany przez sekretaryat austryackiego Jockey Clubu, podaje, że hr. Tarnowski apelował do dyrekcyi Jockey Clubu, a ta potwierdziła wyrok dyrekcyi wyścigów lwowskich.

Gdyby nie ów protest, inaczej wyglądałaby statystyka wyścigów galicyjskich w ubiegłym roku: „Szlachcianka“ stałaby co do sumy wygranych na równi z „Zazulą“ p. W. Postruskiego; ale za to p. J. Krzysztofowicza wcaleby nie było na liście właścicieli stajen wyścigowych, które cośkolwiek wygrały, bo jest on tam tylko z sumą 2500 koron, tych jedynie, które mu przyniosła „Gruzian Princess“, a raczej protest.

Sprawa ta wywołała — jak już wspomnieliśmy — bardzo żywą dyskusyę. Pierwszy odezwał się „Hodowca koni“ w korespondencyi datowanej z Grabownicy 18 lipca 1895 (nr. 7, str. 69). Zaczyna się ta korespondencya od słów: „Co do dyskwalifikacyi „Szlachcianki“, fakt ten jest wprost oburzający“ i t. d.

Nie pozwalamy sobie krytykować werdyktu dyrekcyi wyścigów, a skoro został zatwierdzony przez dyrekcyę Jockey Clubu“, *Roma locuta causa finita*, bo stoimy pod zwierzchnictwem Jockey Clubu austryackiego i pod jego prawami. Musiała mieć dyrekcya wyścigów lwowskich dobre powody, dla których trzymała się dosłownego brzmienia propozycyi, a dyrekcya Jockey Clubu zatwierdzając wyrok wydany. Ale najzupełniejszą słuszność przyznać musimy korespondentowi „Hodowcy koni“ z Grabownicy: że propozycya była błędnie stylizowaną, a raczej przetłumaczoną na polski język. „Geboren“ znaczy „urodzony“, „gezogen“ „wychowany“.

Mamy przed sobą program wyścigów konnych w Galicyi roku 1871 i czytamy w uwagach końcowych:

10) „Wyraz „konie krajowe“ oznacza konie urodzone i wychowane w Galicyi, Wielkiem Księstwie Krakowskiem i na Bukowinie, lub w roku urodzenia tam sprowadzone“.

W programach z ostatnich lat tej uwagi nie ma, a propozycya wyścigów z r. 1895 w owym biegu powiada: dla koni „urodzonych“ w Galicyi. Obie dyrekcye tak wyścigów lwowskich jak Jockey Clubu austryackiego trzymały się dosłownego brzmienia propozycyi, ale wyrok wypadł wprost sprzecznie z duchem ustawy i celem Towarzystwa chowu koni, również jak sprzecznem z nim i było wniesienie protestu.

Zadaniem Towarzystwa jest podniesienie chowu koni w kraju, a zważywszy, że c. k. rząd tak mało w tym kierunku działa, w duchu Towarzystwa musi tkwić zamiar zachęcania każdego usiłowania, aby jak najlepsze konie w kraju się rodziły.

Tymczasem rzecz praktycznie biorąc, przedstawia się ona tak: Hr. Jan Tarnowski posyła wychowaną u siebie klacz „Odsiecz“ do Kisber, bo w kraju niestety nie widzi stosownego dla niej reproduktora; a chce wychować dobrego konia, tem samem podnieść chów koni w kraju, działa zatem w myśli celów Towarzystwa. „Odsiecz“ źrebia się w Kisber i bardzo wkrótce potem wraca do kraju ze źrebięciem — właśnie tą „Szlachcianką“ — która dalej ciągle w kraju się chowa.

Więc ukarać należy hr. Tarnowskiego za to, że od lat przeszło trzydziestu stara się chować dobre konie, że znacznym kosztem posyła klacz do lepszego reproduktora po za granice Galicyi. Jakto? on śmiał wychować klacz lepszą od „Gruzian Princes?“ Oczywiście trzeba zaprotestować!

Trudno od kogoś wymagać, aby się zrzekł dobrowolnie wygranej, którą może uzyskać przez wniesienie protestu, skoro litera prawa tj. brzmienie propozycyi do tego uprawnia; ale znowu najzupełniejszą słuszność przyznać musimy korespondentowi „Hodowcy koni“ z Grabownicy, że tu zawiniła błędna stylizacya propozycyi w języku polskim; powinno było być powiedzianem albo „dla koni galicyjskich“ albo „dla koni w Galicyi urodzonych lub wychowanych“.

Przegląd rolniczy w nrze z dnia 1 stycznia b. r. ogłasza w tej sprawie list sekretaryatu wiedeńskiego Jockey Clubu, z którego przytaczamy w dosłownem tłumaczeniu wyjątek:

„Rozumie się samo przez się, że określenie podane w § 27 dla „koni austryackich“ musi też być ważnem dla ściślejszego pojęcia „koni galicyjskich;“ według tego koniem galicyjskim albo w Galicyi wychowanym jest:

„a) koń, który urodził się w Galicyi i zostawał tam aż do 1 maja roku następnego po urodzeniu;

„b) koń, który w roku urodzenia z matką wprowadzony został do Galicyi i do 1 maja następnego roku tam się chował, jeśli matka do końca roku, w którem źrebię zostało wprowadzone, pozostawała w posiadaniu krajowego hodowcy“.

Musimy więc dojść do przekonania, że jedynie błędna stylizacya propozycyi była powodem wyroku, wprost przeciwnego duchowi i celowi towarzystwa, które raczej powinnoby zachęcać do importu dobrych koni do kraju, niż zań karać; wyroku, który trzymając się dosłownie propozycyi raz jeszcze stwierdził jurydyczny aksyomat: „*Summum jus, summa injuria*“.

* * *

P. F. Scazighino poruczył przygotowanie koni swoich do biegu trenerowi W. Richards w Totis. Jest ich podobno cały tuzin, a oprócz znanych już z torów wyścigowych jak „Dämon,“ „Ninon,“ „Wanda,“ „Hrabianka“ itd. mają tam być jeszcze cztery dwulatki.

* * *

Wiedeńskie dzienniki sportowe donoszą, że wychowana w Galicyi „Panama,“ chociaż dopiero 5-letnia, już więcej biegać nie będzie, widocznie z powodu przedwczesnego nadużycia w młodym wieku, tj. kiedy była dwuletnią, dodają też uwagę, że nigdy nie była na torze wyścigowym pierwszorzędną wielkością.

Zjazd prymaryuszy szpitali.

Lwów 8 grudnia.

Ogłoszony przed kilkunastu dniami projekt Wydziału krajowego, którego referentem ma być poseł Onyszkiewicz, normujący prawne stosunki szpitali prowincyonalnych, spowodował prymaryuszów do zwołania zjazdu celem zastanowienia się nad tym projektem i uchwalenia stosownej petycyi do Sejmu, by zmieniono ten projekt po myśli zjazdu. Zjazd odbył się w lokalu Towarzystwa lekarskiego, a uczestniczyli w nim także posłowie dr Jakliński, dr. Jordan i p. Onyszkiewicz. Obrady zagaił kierownik szpitala tarnowskiego p. Skowroński zaznaczając, że zjazd nie ma bynajmniej charakteru zjazdu malkontentów i pragnie tylko możebnych do przeprowadzenia reform w zakresie szpitali prowincyonalnych, oraz naprawy bytu kierowników tych instytucyi. Po tem zagajeniu wybrano przewodniczącym p. dra Lachowskiego z Drohobycza, zastępcą p. dra Muszkieta z Żółkwi. Na radę dra Jordana podzielono przedmiot obrad na dwie części: sprawę ustawy szpitalnej i sprawę poprawienia materyalnego bytu kierowników tych instytucyi i postanowiono sprawę pierwszą jako nie osobistą wysunąć na pierwszy plan.

Po odczytaniu projektu przez dra Skowrońskiego, zabrał głos dr. Rożański ze Lwowa. Zdaniem jego, na razie nie można o tem myśleć, by wszystkie szpitale stały się krajowymi jak szpitale w Krakowie i we Lwowie. Wszyscy posłowie nie zgodzą się na to, bojąc się, że na kraj spadną z tego powodu wielkie ciężary. Kiedy jeszcze dawniej przedkładano taki projekt, wystąpił przeciw niemu śp. Grocholski i za jego radą postanowiono, że lekarze szpitalni będą urzędnikami samego zakładu, a nie kraju.

Nie trzeba się tedy kusić o rzeczy trudne do przeprowadzenia, natomiast woli mówca, by zwrócono uwagę na poszczególne punkta projektu: szkodliwem jest n. p. oddanie wszelkiego nadzoru nad służbą siostrom miłosierdzia, bo wobec gospodarki tych sióstr powaga i władza lekarza ustaje i prowadzenie szpitala staje się niemożebnem. Również trzebaby było ingerencyi ustawowej kół lekarskich, aby przewinienia lekarzy szpitalnych sądzili tylko lekarze a nie inni ludzie cywilni.

Dr. Hoszard członek Wydziału krajowego zgadza się z tem, że na razie nie można marzyć o ukrajowieniu szpitali. W roku 1875 uchwalono statuta dla szpitali: krakowskiego, lwowskiego i kulparkowskiego, a gdy nareszcie przyjęto wniosek Grocholskiego, mówca bezskutecznie przemawiał w Sejmie jako sprawozdawca komisyi za tem, aby lekarzy w szpitalach prowincyonalnych traktowano na równi z lekarzami w szpitalach krajowych. Co się tyczy nadzoru nad służbą, to jest on powierzony Siostrom miłosierdzia tylko ze specyalnych powodów a oddalanie lub przyjmowanie służby zależy przedewszystkiem od dyrektora zakładu.

Dr. Skowroński porusza myśl, czy nie możnaby poprawić funduszów szpitalnych w ten sposób, by urządzono loteryę losową, jak ma n. p. szpital Rudolfa.

W ten sposób przez ofiarność społeczeństwa uzyskanoby fundusz emerytalny na przyszłość i fundusz na budowę nowych szpitali w Galicyi.

Dr. Biegelmayer z Sambora przemawia energicznie za tem, aby nie zniechęcać się przedwcześnie. Dlaczegoby nie można marzyć o ukrajowieniu szpitali? Jeżeli idzie o mamonę, to przecież szpitale krajowe i prowincyonalne są i tak utrzymywane z funduszów jednych i tych samych, tj. z dodatków do podatków.

Lwia część wydatków na szpitale przypada na fundusz publiczny czyli na Wydział krajowy. A przecież boi się Wydział jednego tylko słówka „szpitale krajowe“, jakgdyby z tego wynikły olbrzymie wydatki. Ale te wydatki nie będą znowu tak znaczne, wynosić będą najwyżej 40 do 50 000 a w ten sposób uregulowałoby się raz na zawsze stosunek prawny szpitali. Gdy jednak uchwalą tylko jakąś palliatywną ustawę, to ona będzie zawsze kuleć, a przecież przyjdzie czas kiedy siła samych faktów zwycięży, bo grosz daje kraj a szpitale są prowincyonalne.

Cyframi wykazuje mówca, że działalność w szpitalach prowincyonalnych nie ustępuje w niczem działalności szpitali krajowych, pomimo, że i choroby i operacya nie są tam lżejsze.

Radzca sanitarny dr. Merunowicz mówi, że nie rozchodzi się tu wcale o nazwę. Radzi przyjąć brzmienie pierwotne § 1 jako najważniejszego, t. j. aby szpitale, utrzymujące się z miejscowych dochodów były nazwane samoistne, bo przecież i tak pozostaną de facto krajowymi. Wreszcie radzi zastanowić się bliżej nad sposobem zarządzania szpitali.

Dr. Jabłoński z Rzeszowa przemawia za wnioskiem dra Merunowicza, podnosząc, że do komitetu szpitali powinni wchodzić przedewszystkiem lekarze. Zaznacza przytem, że szpitale są nietylko zakładami humanitarnymi, ale oraz instytucyami produkcyjnemi, bo oddają corocznie krajowi kilka tysięcy ludzi zdrowych.

Dr. Bogdanik z Białej spodziewa się, że lekarze szpitalni nareszcie może uzyskają to stanowisko społeczne, jakie mają lekarze wojskowi i powiatowi, gdy będą pod zarządem władz autonomicznych. Pragnie w ogóle, aby szpitale wszystkie podciągnięto pod jeden strychulec, ale przedewszystkiem aby je uwolniono od wpływu rad gminnych. Przytacza drastyczne przykłady.

Dr. Różański radzi, aby wreszcie zdecydować się na to, czy w granicach istniejących urządzeń ma się coś przeprowadzić, czy ma się odłożyć dalszą ale gruntowną akcyę po myśli zjazdu, do przyszłej kadencyi sejmowej. Dr Biegelmayer przystaje także do tego zapatrywania ze względów oportunistycznych.

Dr. Muszkiet podnosi jeszcze, że potrzeba lekarzom zapewnić stanowczą a nie jak dotąd tylko doradczą ingerencyę w administracyi szpitali. Dr. Lachowski przychyla się do zapatrywania dr. Rożańskiego, a poparł go skutecznie dr Merunowicz radząc, by przedewszystkiem przeprowadzono szczegółową dyskusyę nad pojedynczymi paragrafami projektu. W ten sposób nie jedno się lepiej wyświetli i wtedy dopiero dyskusya ogólna będzie produktywną. Dr. Różański zwrócił jeszcze uwagę na ten fakt, że wiele szpitali prowincyonalnych powstało z prywatnych funduszów, a więc i tak do gmin nie należą, poczem przystąpiono do szczegółowej dyskusyi.

Część ekonomiczna.

§ Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu

Kraków 7 stycznia.

Pod wpływem lepszych wiadomości z targów zagranicznych, a mianowicie z Węgier, ruch w handlu zbożowym zaczyna się ożywiać także u nas, a że właściciele zboża przeważnie zachowują się wyczekująco, więc ofiarowanie nie wzmaga się wcale, a skutkiem tego ceny pszenicy ponownie się trochę podniosły. Żyto i inne produkta trzymają się w cenie bez zmiany.

Płacono za pszenicę białą: 7·50—7.75, czerwoną 7·45 do 7·70, żółtą 7·45—7·70, żyto 6·70 do 6·90, jęczmień browarny 6·25 do 6·70, na paszę 5·35 do 5·50 zł., owies 5·70 do 6·15 zł., wykę 0.00—0·00 zł., rzepak 9.00—9.20. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ Z targu na bydło. Wiedeń 7 stycznia. Na dzisiejszy targ dowieziono 4754 wołów, w tej liczbie z Galicyi 1814. Płacono od 28 do 37 zł. Tendencya targu mdła.

Nierogacizny dowieziono 8939 sztuk. Płacono od 32 do 49 centów za kilogram żywej wagi bez akcyzy.

§ Giełda zbożowa. Wiedeń 7 stycznia. Pszenica na wiosnę 7·29, na jesień 7·46, żyto na jesień 6·36, kukurudza na maj-czerwiec 4·75, rzepak na styczeń-luty 9.90, rzepak na sierpień-wrzesień 11.15.

§ Losowanie. Przy ciągnieniu 3%-wych losów Zakładu kredytowego ziemskiego (Bodencreditanstalt) główna wygrana 50 000 zł padła na seryę 1 300, nr. 23, druga wygrana 2 000 zł na seryę 1726, numer 18, po 1.000 zł. wygrały: serya 4 372 nr. 16 i serya 7785, nr. 1.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 8 stycznia. Ministrowie węgierscy odjechali już do Pesztu.

Konstantynopol 8 stycznia. Powstańcy osaczeni w Zeitunie zaopatrzyli się na kilka miesięcy w żywność i amunicyę. W okolicy tamtejszej spadły bardzo wielkie śniegi, co utrudnia wojsku tureckiemu dalszą ofensywę. Interwencya ambasadorów w tej sprawie staje się coraz trudniejszą.

Zadar 8 stycznia. Wczoraj odbył się w Raguzie przy ogromnym udziale wszystkich warstw ludności pogrzeb marszałka Sejmu dalmatyńskiego p. Klaicza.

Madryt 8 stycznia. Niektóre dzienniki doniosły, że marszałek Martinez Campos podał się do dymisyi, dotychczas jednak minister wojny nie otrzymał takiej prośby marszałka Campos'a.

Paryż 8 stycznia. Bankier Balensi, który miał sprzeniewierzyć Lebaudy'emu sześć milionów franków, uciekł. Rozesłano za nim listy gończe.

Lipsk 8 stycznia. Umarł tu w 89 roku życia znany księgarz Filip Reclam, wydawca taniej biblioteki uniwersalnej.

Wiedeń 8 stycznia. Cesarz przyjmował wczoraj na całogodzinnej audyencyi prywatnej prezesa gabinetu węgierskiego bar. Banffy'ego, a następnie węgierskiego ministra spraw wewnętrznych Perczela. Perczel był także na audyencyi u arcyksięcia Ludwika Wiktora, któremu składał gratulacye noworoczne.

Obaj ministrowie finansów pp. Biliński i Lukacs obradowali wczoraj w dalszym ciągu nad kwestyą bankową i nad regulacyą waluty.

Berlin 8 stycznia. *Berliner Tagblatt* donosi, że sekretarz stanu Leyds jest wielce zadowolniony z rezultatu audyencyi, o której wysłał obszerny telegram do Pretoryi.

Salzburg 8 stycznia. Wczoraj otwarto sejm salcburski. Posłowie Lienbacher, Eberhard i Zeller postawili nagłe wnioski, wzywające rząd, ażeby przy rokowaniach ugodowych z Węgrami bronił jak najenergiczniej interesów tej połowy monarchii i aby starał się o korzystniejszy dla Przedlitawii rozdział wspólnych ciężarów.

Nowy York 8 stycznia. Do dzienników tutejszych donoszą z Bostonu, że powstańcy kubańscy zamknęli ze wszystkich stron miasto Hawannę i że tylko forteca w tem mieście trzyma się jeszcze.

Londyn 8 stycznia. W dokach tutejszych panuje wielkie wzburzenie. Z powodu znieważenia majtków niemieckich i holenderskich przyszło do bójki. Pospólstwo tłukło szyby wystawowe w oknach kupców niemieckich. Zamknięto kilka klubów niemieckich i holenderskich.

Na bankiecie przemysłowców w Chard burmistrz tamtejszy pił zdrowie całej rodziny królewskiej, z wyjątkiem jednego wnuka królowej (tj. cesarza Wilhelma). Toast ten przyjęto głośnymi okrzykami, gdy zaś wymówiono imię cesarza Wilhelma, sykano i gwizdano, poczem stojąc odśpiewano hymn angielski.

Madryt 8 stycznia. Dziennik *Correspondenzia* donosi, że garnizon miasta Guara na Kubie, składający się z samych ochotników, musiał się poddać powstańcom.

Madryt 8 stycznia. Depesze, jakie tu nadeszły z Londynu, donoszą, że marszałek Martinez Campos pobił powstańców kubańskich koło Hawanny i że powstańcy ponieśli w tej bitwie wielkie straty.

Kanonierka „Ardilla“ stoczyć miała także bitwę zwycięską z flotylą powstańczą i zabrała cztery statki powstańcze.

Wiedeń 8 stycznia. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza ustawę o kontyngencie rekrutów na rok 1896, tudzież ustawę upoważniającą rząd do zakupna gruntów pod budowę żeńskiego seminaryum nauczycielskiego we Lwowie i dwóch gimnazyów w Krakowie, wreszcie rozporządzenie ministeryalne, wedle którego w porozumieniu z rządem węgierskim zmienione zostają postanowienia o zwrocie cła za sprowadzone z zagranicy zboże, z którego mąka eksportowaną jest za granicę, — w ten sposób, iż przy wywozie mąki, który musi nastąpić najpóźniej w ciągu sześciu miesięcy od chwili sprowadzenia zboża, zwraca się od każdych 100 kilogramów mąki, do której nie liczy się odpadków, tę kwotę należytości celnej, którą złożono jako zabezpieczenie cła należnego od 100 kilogramów zboża.

Zabezpieczenie należytości celnej od wprowadzonego zboża musi być dane tylko w gotówce, a nie w skryptach dłużnych, ani w papierach wartościowych. — Rozporządzenie to wchodzi w życie z dniem 15 bm. (Porównaj wiedeńską korespondencyę w nrze 4 *Przeglądu* z r. b. Przyp. red.)

Wreszcie ogłasza ten dziennik urzędowy patent cesarski zwołujący dopiero na 23 bm. sejm dalmatyński, zwołany pierwotnie na dzień 11 bm.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 7 stycznia. Dr. J. Bogdański z Biały. Dr. W. Iłziński z Żywca. Ks. Oleksiński z Jarosławia. Dr. Münz z Jarosławia. B. Topolnicki z Chyrowa. A. de Słonecki z Zadurowa. J. Gizowski z Podwysokiego. Ks. S. Dzieszyński ze Starego miasta.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 7 stycznia. T. Dorożyńska z Podola ros. K. Wierzchleyski ze Stawczan. K. Włodek z Drohowyża. G. br. Harting'i z Prusinowa. W. Zagórski z Rzeszowa. K. Kownacki ze Świtażowa.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 7 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 366·75, węgierskie kredyty 393·00 anglobank 163·—, bankverein 140·75 unionbank 290·00, länderbank 234·50 staatsbahny 355·—, lombardy 93·50, elbethale 275.50, akcye tytoniowe 183·00, rima 245·—, alpiny 79·50, renta majowa 100·—, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —·—, losy tureckie 51·— węg. renta koronna 99·—, marki 59.35, ruble 128·2.

61)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

— Jak to? Nie rozumiem.

— Przecie to proste, jak dwa a dwa cztery — zaśmiał się Bersaglione. — Czy ci Carpisto nie powiedział, co postanowiono wczoraj na zebraniu?

— Powiedział mi, że małżeństwo Luiggiego odbędzie się, jak było ułożone.

— A potem?..

— To i wszystko

— Otóż wcale niewszystko. Okazuje się, że zdradziłaś Maffię, porywając się już raz na życie miss Smither, więc Maffia odpłaci ci za to po swojemu.

— Czyli, że?... — blednąc, szepnęła kobieta.

— Że przed upływem trzech dni pójdziesz za Leonem i... i tamtymi...

Dreszcz śmiertelny wstrząsnął Cathariną od stóp do głowy.

— Przed upływem trzech dni... — powtórzyła błędnie. — Tem prędzej trzeba działać, bez zwłoki czasu. Jeżeli już mam ginąć, chcę przynajmniej umierać pomszczoną.

— Ja tam na twojem miejscu wolałbym żyć i napawać się swoją zemstą — zaśmiał się cynicznie Bersaglione. — Towarzysze nakazali Luiggiemu spełnić wyrok...

Rozszerzone nagle źrenice kobiecy zapałały tak straszną grozą, że nawet bandyta zatrzymał się w pół słowa, nie śmiąc mówić dalej.

— I on zgodził się? — szepnęła zdławionym głosem.

Bersaglione twierdząco pochylił głowę.

— O mój Boże!... — jęknęła, obiema rękoma cisnąc serce pękające z bolu.

A po chwili wybuchnęła zawiścią:

— Och! jak on ją musi kochać!...

— Dla tego właśnie, że ją kocha, zemsta twoja powinna dosięgnąć go w przedmiocie jego miłości — radził Bersaglione. — On dręczył cię dotąd, teraz na ciebie kolej jego dręczyć... On czyha na twoje życie; zasłoń się przed nim tą, której oddał serce, wydarte tobie. Zamiast skracać jej dni, wykradnij ją i ukryj w miejscu bezpiecznem. Wtedy staniesz się od razu panią położenia... Rozumiesz?

Ona pomyślała chwilę, potem rzekła:

— Może masz i słuszność.. Tym sposobem będę mogła się napawać widokiem jej łez i cierpienia.

— A z umarłej cóż ci przyjdzie?... Rozdrażnisz tylko jego gniew i nic nie wskórasz.

— To pewna — dorzucił Carpisto. — Wykradzenie panny, to rzecz... Wolę to niż tamto. Nie miałem jakoś serca krzywdzić tej małej, lecz do tej roboty jestem gotów, choćby zaraz.

— Ale to niedość wykraść dziewczynę... gdzież ją umieścić? — rzekła Catarina.

— To prawda — zamyślił się Carpisto — gdzie ją ukryć? Bo Luiggi zaraz się domyśli, że to ty...

— Lecz ja nie chcę, aby się tylko domyślał; chcę, żeby wiedział, iż jego słodka bohdanka znajduje się w mojej mocy! — zawołała kobieta.

— Otóż wiem jedno miejsce, gdzie napewno nie przyjdzie mu na myśl jej szukać, mianowicie u Hutnika — rzekł Bersaglione.

— Ależ Hutnik jest przyjacielem tej dziewczyny...

— Tem lepiej. Uśpimy pannę, wsadzimy ją do karety i wywieziemy w puszczę.

— Lecz ja nie mogę pokazać się jej na oczy!... Ona wypędziła mnie dzisiaj!... — z iskrzącemi od gniewu oczyma zawołała Catarina.

— To też nie potrzebujesz się jej pokazywać. Ponieważ nikogo, prócz nas trojga, niemożna dopuścić do tajemnicy, więc ty wsiądziesz na kozieł i będziesz powoziła. Co do mnie, wymyślę jaką bajkę, aby nakłonić Hutnika do przytrzymania u siebie tego żywego zastawu, dopóki trwać będą układy z Luiggim.

Carpisto potrząsnął głową.

— Dajmy na to, że okłamiesz Hutnika.. lecz cóż jej samej powiesz?

— Nie bój się o to.. — zaśmiał się chytrze Bersaglione. — Wymówię tylko nazwisko pana Nichollsa; to wystarczy, aby ją utrzymać w spokoju. Choć mi tam niebardzo ufają, lecz odkąd służę w tym domu, podpatrzyłem i podsłuchałem niejedno, a między innemi tajemnicze konszachty panny z naczelnikiem policyi. Trzeba z tego skorzystać.

— Teraz, gdyśmy się zgodzili na jedno — rzekł Carpisto — trzeba nam się rozejść. Ty wracaj do domu, a ja spotkam się gdziebądź na ulicy z Bersaglionem, z którym musimy ogadać dzisiejszą nocną wyprawę.

Catarina wstała.

— A przedewszystkiem — szepnął Bersaglione — pamiętaj o zapłacie. Z ręki do ręki... My ci dostawimy pannę, a ty nam wręczysz umówioną sumę.

— I mnie także, jeżeli łaska — dorzucił Carpisto. — Raz załatwiwszy sprawę, nie myślę tu długo zostawać. Luiggi ma za ciężką łapę.

Młoda kobieta skinęła głową na znak zgody i już szła ku drzwiom, gdy zawróciła z nienacka.

— Ale, ale... — rzekła, zwracając się do Bersagliona — jakże sobie poradzisz z dozorczynią?

— O! z nią nie będzie biedy! — zaśmiał się bandyta. — Dość będzie starej dać prztyczka w nos na wypadek, gdyby się przebudziła. Co się tyczy Herkulesa, ten sypia w osobnym pokoiku na drugim końcu domu. Wszystko więc pójdzie, jak z płatka...

Wyszedłszy z kościoła, Catarina skierowała się ku domowi. Szła wolnym, chwiejnym krokiem, z głową ociężałą od myśli, zataczając się, jakby pijana. Gdy przed chwilą Bersaglione oznajmił jej wyrok Maffii, którego wykonania podjął się mąż, musiała przywołać na pomoc całą energię swojej natury, aby nie wybuchnąć wściekłością i żalem.

Więc nietylko ten człowiek, który zawdzięczał jej wszystko, zobojętniał całkiem dla niej i pokochał inną, lecz ta nowa miłość tak głęboko zapuściła korzenie w jego niewierne serce, że gotów był poświęcić ją brutalnie, jako jedyną przeszkodę do swojego szczęścia?!

A kiedy tak, życie straciło cały urok dla niej. Gotowa była błogosławić w tej chwili rękę, któraby ją od niego uwolniła.

Ale Luiggi... Luiggi... jej mąż!... Nie, to przechodziło miarę wszelkiego okrucieństwa!

Śmierć wydawała jej się zbyt straszną, gdyby ją miała zadać ta ręka, która powiodła niegdyś Catarinę do ołtarza i przez trzy lata darzyła ją pieszczotami miłości.

Tak, nie pozostawało jej dziś nic innego, tylko iść za radą Bersagliona; wziąć w zakład tę dziewczynę i tym sposobem bronić się przeciw sztyletowi Luiggiego Merellego, a w potrzebie podyktować mu ostre warunki.

Z głową płonącą żarem rozognionych myśli, nogami, które uginały się pod nią, Catarina przekroczyła bramę wjazdową swojego pałacu, hartując się przeciw bólowi, który szarpał w kawały jej serce.

— Pani hrabina wydaje się cierpiącą? — ze współczuciem zapytała Olivetta, nadbiegając, aby ją rozebrać.

Catarina odprawiła ją szorstko, a zamknąwszy drzwi za nią, padła wyczerpana na sofę. Ogarnęło nią niewysłowione uczucie błogości, gdy tak legła wyciągnięta i jakby martwa w swojej nieruchomości. Chłód i cisza zaciemnionego storami pokoju ogarnęły ją zewsząd.

Kilka godzin upłynęło, a ona nie uczyniła ani jednego ruchu, nie wyszeptała ani jednego słowa, nie jękła nawet. Umysł jej, zarówno jak i ciało, były w stanie zupełnego odrętwienia.

Wyglądała na umarłą raczej, niż na czującą i cierpiącą istotę.

Olivetta stukaniem do drzwi zbudziła ją z tego letargu.

— Czego chcesz? — spytała twardym głosem, podnosząc się na łokciu i przecierając zamglone oczy, jakby z długiego, przykrego snu.

— Pan margrabia Santa Capella czeka w salonie i pyta, czy pani hrabina zechce go przyjąć.

Słysząc nazwisko swojego męża, młoda kobieta zerwała się na nogi i z oczyma rozszerzonemi przerażeniem, z piersią dyszącą, rękoma wyciągniętemi bijąc powietrze, zdawała się szukać jakiegoś punktu oparcia, aby nie runąć, jak długa, na ziemię.

— Co mam odpowiedzieć panu margrabiemu? — spytała po chwili przez drzwi Olivetta.

Rysy Cathariny ściągnęły się śmiertelnym przestrachem, a z zaciśniętego kurczowo jej gardła żaden dźwięk nie mógł przedostać się na zewnątrz. Nareszcie, po chwili pasowania się z ogarniającą ją niemocą, rzuciła zdławionym głosem:

— Nie... nie!... Nie ma mnie w domu... Nie przyjmuję nikogo.

Lecz trwoga podnieciła jej siły i wyobraźnię; rzuciła się po chwili ku drzwiom i zawołała tym razem już wyraźnie:

— Powiedz mu, że jestem z panem Nichollsem.

Z uchem przytkniętem do dziurki od klucza, przysłuchiwała się lekkim krokom panny służącej, zbiegającej ze schodów, jakby się spodziewała usłyszeć rozmowę jej z Luiggim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodek.